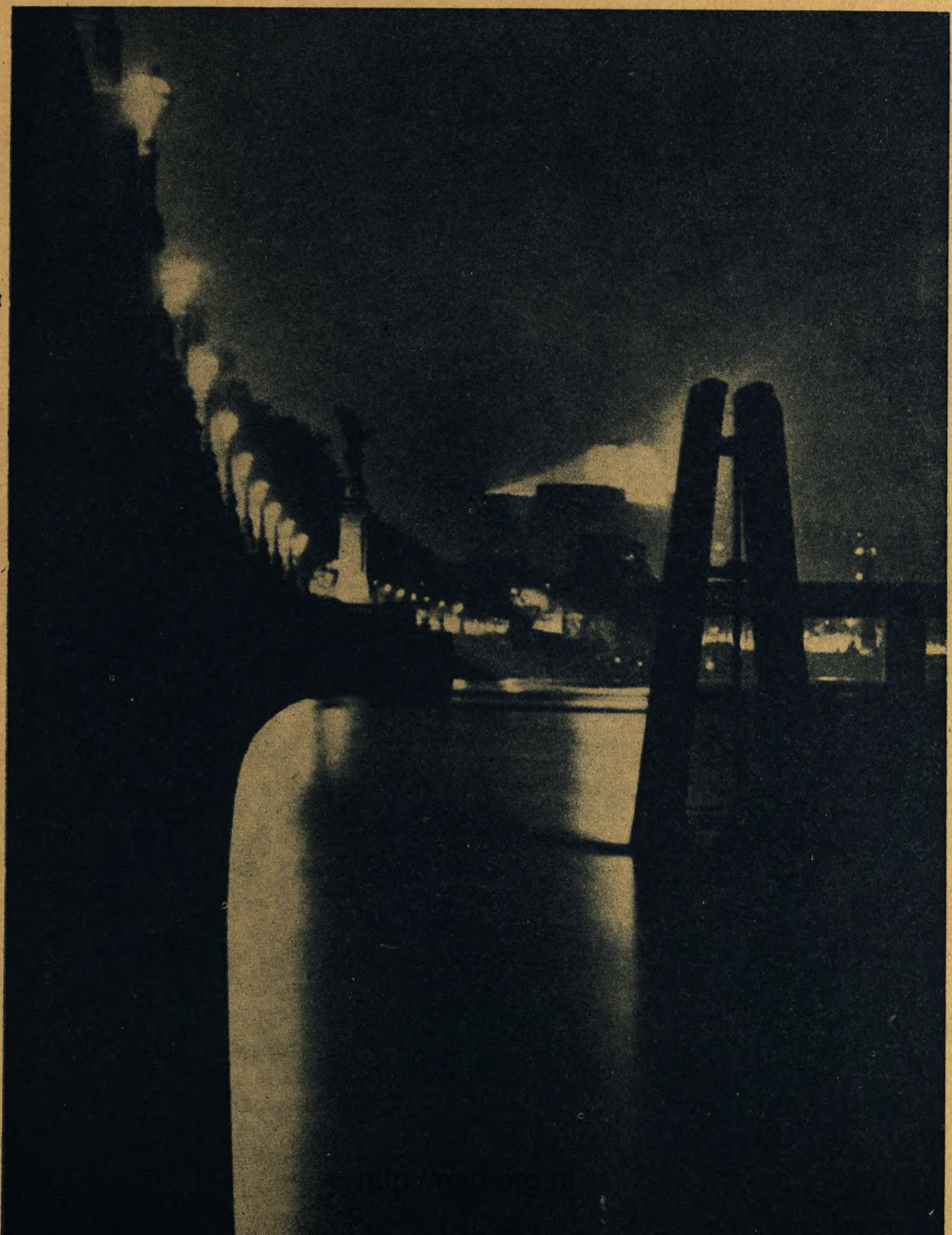
RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY



ROK VIII

Nr. 1

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ" W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	zł. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nru. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.
Telefon: 240-15 P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 11—1 przed poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

RODZINA POLSKA
MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
ROK VIII. WARSZAWA, STYCZEŃ 1934.



Anna Jagiellonka. Mal. A. Borawski.

KTOŚ DOBRY!...

Ktoś bardzo czuły i dobry
Zamyka książkę „Rok stary“,
Ażeby w nowej powieści
Otuchy dodać, wiary.

Ktoś bardzo bliski, serdeczny
Usuwa troskę powszednią...
Och, może w tym Roku Nowym
Biedni przestaną biednieć?

I może w tym Roku Nowym
Łzy przestaną być słone...
Wszak Ten, co światami włada
Cudu może dokonać?

Wszak Ten, co światami włada
Umie kalekich uzdrawiać —
Więc może w tym Roku Nowym
Smutnych pobłogosławi?

Ciężkie są dnie, które były
Ciężkie, więc przecież dlatego
Ten, który jest miłosierny
Dzień daje Roku Nowego.

Ktoś bardzo czuły i dobry
Serdeczny i miłościwy
Pozwala przez jedną chwilę
Być choć w nadziei szczęśliwym.

L. Rubach.

ANNA JAGIELLONKA NA PRZEŁOMIE DWÓCH EPOK



Katedra na Wawelu w. XIV.

W okresie uroczystego obchodu 400-letniej rocznicy urodzin Stefana Batorego, zapomnieliśmy o jego małżonce A jednak, godzi się przypomnieć, że król Stefan czuł zawsze wdzięczność dla Anny Jagiellonki, iż przyczyniła się do zajęcia przez niego tronu polskiego, co planami wielkiej przyszłości jego duszę natchnęło.

Wprawdzie do małżeństwa nie miał on nigdy wielkiej ochoty, z czego nawet w owe czasy wysnuto różne wnioski, o których, gdy się Batory dowiedział, śmiał się z tego. A Bielski w swej kronice zaznaczył, że znów z innej przyczyny chciano „rozpruć to małżeństwo z Anną Jagiellonką", — uważając, że potomstwa się nie doczeka, z powodu jej podeszłego wieku.

Gdy jednak stało się, że zażądano od niej, ze względu na jej pochodzenie, aby wyszła za Batorego, to, „aczkolwiek długo się królewna wzbraniała, wszakże nie chcąc być przeciwną woli Bożej i woli tych, z których się opieki nigdy nie wyłamywała — wyraziła zezwolenie".

Od piastowskich czasów nie było obrządku równego temu, jaki się odbył w kwietniu r. 1576, — tej podwójnej, jednoczesnej koronacji króla i królowej, dopełnionej przez ks. biskupa Karnkowskiego, który zastąpił arcybiskupa gnieźnieńskiego, poplecznika cesarza Maksymiljana, kandydata do polskiej korony.

Przed koronacją królowa zrzekła się na rzecz Korony wszystkich spadków po królowej Bonie, matce swej, które jej przysługiwały tak w Koronie, jak i na Litwie i w księstwie Mazowieckiem; przyznano jej jednak posag na Mazowszu. Po obrzędzie koronacji odbyła się świetna uczta na Zamku. Król z królową siedzieli w koronach za głównym stołem, pod złotym baldachimem, obok nich niektóre niewiasty i dziewice; a przy innych stołach wszyscy zaproszeni panowie polscy i węgierscy, cały senat i posłowie. Przez cały czas uczty trzymano przy obojgu królewskie insygnja koronne: dwa berła i dwa jabłka. Po obiedzie tego dnia odbyły się na wawelskim dziedzińcu zamkowym rycerskie gonitwy. Ze wspaniale przybranych kobiercami i kwiatami krużganków spoglądali na to król i królowa.

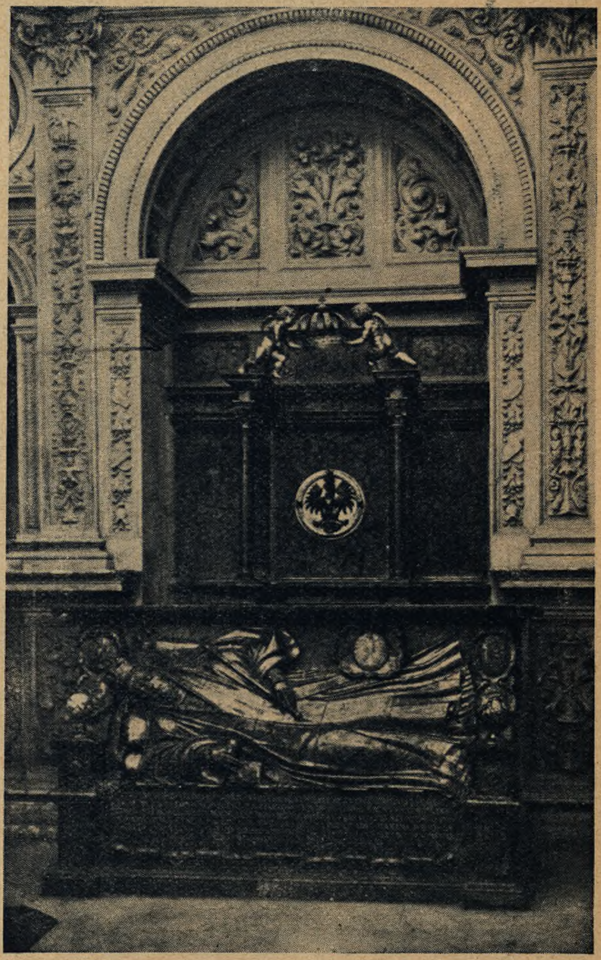
Wszyscy wówczas wpatrzeni w króla, ci, co z jego spotkali się wzrokiem — zrozumieli i odczuli jasno — kto zasiadł na tronie, że to mąż wielkiego majestatu, co biorąc berło wśród burz zdoła pokierować łodzią ojczyzny bez przeszkody i zboczenia.

I nie zawiódł się naród.

Z biegiem czasu powstało w sercu Anny uczucie wdzięczności za triumfy odnoszone nad Moskwą przez Stefana Batorego, do którego tak tęsknił Zygmunt August, — za tę wielką reakcję religijną, która się zaczynała w Rzeczypospolitej. Król ciągle był w rozjazdach zajęty sprawami państwa, wojnami, wreszcie polowaniami, którym się namiętnie oddawał.

Więc żaliła się czasami królowa na opuszczenie, gdy pozostawała długo bez męża; bo chociaż w ich małżeństwie nie było „pociągu osoby do osoby", ale był wzajemny szacunek i serdeczność; Batory względem żony odnosił się arcyszlachetnie i z taktem.

Królowa Anna przesiadywała, prawie stale, w Warszawie, do której się przywiązała, z którą była związana bardzo wieloma przeróżnemi wspomnieniami chwil spędzonych we łzach, nawet w nędzy wraz ze swoją siostrą Katarzyną, — w utrapieniach, które ugruntowały w niej tak wielką moc charakteru, że najsilniejsi



Grobowiec Anny Jagielonki.

w owe czasy — ulegali, choć niechętnie, jej przewadze. Z wysokości swego majestatu, była dobrą dla narodu matką — i za to ją uwielbiano.

Znaną była z energji właściwej Jagiellonom.

Ta energja, przyciszona przez despotyczną, gwałtowną matkę, Bonę, źle widziana przez obrażonego brata Zygmunta Augusta, ujawniła się znamiennie po jego śmierci, — gdy zmarł ten monarcha szlachetny, rozumny, zostawiając niedokończone dzieło reformy państwa. Wtedy to, wprost krańcowo nieustępliwa w postanowieniach Anna, przejęta troską o Rzeczpospolitę, świadoma dziejowej odpowiedzialności, zdobyła się na śmiałość zdecydowanej woli; umiejętnemi dyplomatycznemi posunięciami zniewala opornych panów polskich, nie uznających rządów kobiecych — do uległości. Dalszą jej akcję polityczną stanowi przygotowanie terenu dla spraw państwowych, oddała się pracy na polu kulturalnem, co miłem było dla króla, jako mecenasa, otaczającego opieką uczonych i artystów. Śmierć Batorego wprowadziła ją powrotnie na arenę polityczną. Rozwinęła wtedy cały zasób doświadczeń; działając otwarcie i stanowczo, narzuciła narodowi kandydata, pochodzącego z krwi Jagiełłowej, syna swojej siostry Katarzyny, żony Jana III króla szwedzkiego — Zygmunta Wazę. Przyśpieszonem wysłaniem Marcina Leśniowolskiego, kasztelana podlaskiego do Szwecji, w celu dowiedzenia się, czy król Jan III zgodzi się, aby jego syn został królem Polski, i otrzymaniem pomyślnej zgody — sprawiła, że ukochany przez nią siostrzeniec zajął tron po Batorym.



Grobowiec Stefana Batorego.

Niestety, po pewnym czasie, przenikliwa Anna Jagiellonka wyczuła poczynające się nachylenie ku upadkowi złotego wieku Jagiellonów i Batorego, co ją nowym, po dawnych troskach, poczęło przejmować wielkim niepokojem o dalsze losy ojczyzny.



Grobowiec Zygmunta I i Zygmunta Augusta.

Znalazła się Anna Jagiellonka na przełomie dwóch epok.

Rozrzewniającą była chwila, gdy po śmierci Batorego, na początku konwokacji odbytej w Warszawie, w r. 1587, arcybiskup lwowski, przywiezioną z Rzymu od papieża różę złotą królowej wdowie, w kościele św. Jana, z wielkiemi ceremonjami wręczył, którą ona temuż kościołowi darowała.

Ocenę jej duchowej wartości podał nam Joachim Bielski w swej kronice, temi zapisaną słowy: „9 września 1596 roku umarła królowa stara, pani nasza w Warszawie, ostatni domu Jagiełłowego potomek, której śmierć znamionowała kometa przedtem. Pochowana w Krakowie w tejże kaplicy, gdzie ojciec jej Zygmunt I i brat Zygmunt August królowie leżą. Bo tam jeszcze za żywota swego grób sobie dała zmurować i marmurem dosyć ozdobnym i tę kaplicę z wierzchu dachówką pozłocistą nakryła. Była pani dobra, nic pyszna, nabożna tak, iż za jej modlitwami wiele nam Pan Bóg dobrego dawać i temu królestwu szczęścić raczył, broniąc nas od wielu przygód złych i nieprzyjaciół. Była do tego pani gospodarna i stan barzo pięknie wiodła. Co wszystko szczerze przy pogrzebie jej ksiądz Piskorzeski w oracyej swej wyraził“.

A Skarga, przy złożeniu jej zwłok w kościele katedralnym i koronacyjnym na Wawelu, w d. 12 listopada 1596 r., wygłosił jedno ze swych siedmiu kazań okolicznościowych, najwznioślejszych i najrzewniejszych, w które przelał całe serce swoje, całą miłość ku miłej ojczyźnie.

Aleksander Borawski.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

Tysiące i tysiące kart pocztowych i biletów z życzeniami noworocznemi okrąża kulę ziemską. Tysiące i setki tysięcy powinszowań krzyżuje się na przyjęciach, „cercle'ach", zabawach, a zwłaszcza wieczornicach czy balach sylwestrowych, poprzedzających nadejście tego zwykłego, a tak niezwykłego gościa — Nowego Roku. Krewni, znajomi, przyjaciele, czasem nawet wrogowie dla konwenansu przesyłają sobie „serdeczne życzenia".

— Wszystkiego najlepszego!

Życzenia te tak gęstą siecią oplatają kulę ziemską, że gdyby miały w sobie, jak jej nie mają, siłę twórczą i moc urzeczywistniania tego, czego życzą, — to świat nasz odmieniłby swą postać i oblicze. Z padołu płaczu stałby się powtórnym rajem.

Jakże mu jednak daleko do tego!

Nie ucicha płacz, nie ustają troski i trudy, nie zdołano dotychczas przerwać krwawego łańcucha bólów i męczarni, i sama dotąd śmierć jest — nieśmiertelną!...

Pomimo to serce ludzkie z każdym Rokiem Nowym otrząsa się z beznadziei, pręży ku górze, napełnia nową otuchą, że nieosiągalne dotąd wreszcie zostanie osiągnięte i życzy sobie, życzy innym...

— Wszystkiego najlepszego! Pełni dóbr...

Ale zapomina przytem o bardzo prostej, a zasadniczej prawdzie i najczęściej dzięki temu zapomnieniu wszystkie życzenia trafiają w próżnię... Czyż bowiem można mieć „wszystko najlepsze", jeżeli się nie pomyśli o tem, by stanąć nad źródłem „dobra"?!

Źródłem wszelkiego dobra — jest Bóg! I właśnie dzień I m i e n i a Boga-Człowieka umyślił chrystjanizm dać jako oparcie, jako początek, jako źródło dóbr całego roku. Jeszcze dziś wiele narodów kiedyindziej rozpoczyna swój „rok nowy". Ale wszystkie chrześcijańskie ludy postanowiły od Jezusa Chrystusa oczekiwać wszystkiego najlepszego"...

Czy to jednak nie ułuda? Czy nie zwykła sugestja, która w ciągu dziewiętnastu wieków okrzepła w sercu narodów chrześcijańskich? Czy jest naprawdę to przeogromne źródło wszelkiego dobra?

Poszukajmy Go!... na ziemi!

Doświadczenie nas uczy, że istnieją w świecie istoty mniej lub więcej doskonałe: jedne piastują w sobie mniej, inne więcej dobra. Doskonalsze są rośliny od materji nieorganicznej, od roślin doskonalsze są zwierzęta, od zwierząt ludzie. W ludziach spostrzegamy życie rozumne, którego nie posiadają pozostałe dwa działy jestestw. Zwierzęta mają życie zmysłowe, którego są pozbawione tak rośliny, jak przyroda martwa. Jednem słowem... życie i jego dobra zostały przydzielone jestestwom, ale w stopniu różnym. Na każdym ich szczeblu zachodzi jakieś ograniczenie bytu, na wszystkich szczeblach zaznacza się nierówność bytu. W jednych mniej, w innych więcej dobra...

Nie może być zatem żadne z nich — Źródłem Dobra. Są to nikłe źródełka, które ledwo, ledwo biją... źródełka dóbr ograniczone! Nie dają „wszystkiego najlepszego"!

Któż je ograniczył?

Kto ograniczył minerały, że nie posiadają doskonałości właściwych roślinom? Kto ograniczył rośliny, że nie mogą się wykazać przymiotami, doskonałościami spotykanemi w świecie zwierząt, albo tembardziej śród ludzi? Czyż ograniczyły się same?

Niepodobieństwo! — Nikt przecież i nic nie obiera sobie stopnia bytu! Od początku do końca świata ani jedna istota nie wyrokowała o sobie, czy chce być atomem, ciałem promieniotwórczem, rośliną, skałą, lwem, orłem, lub człowiekiem!... Na mirjady tworów — ani jeden!

Któż go zatem ograniczył? — skoro sam tego nie czyni?

Może jego natura?...

I to nie! Natura w każdej istocie znajduje się cała. Natura całkowita wody jest w oceanie, jest i w kropli rosy. W małem dziecku i w dorosłym człowieku, w czarnym, żółtym, czy białym, jest cała natura ludzka. W każdym kwiecie czy kwiatuszku jest cała natura kwiatu. I tak wszędzie, tak we wszystkich istotach. Natura nie chce być ograniczoną. Najwyraźniej dąży do bezkresu, tworząc mnóstwo istot na każdym stopniu, powołując na pomoc — ich pokolenia!

Jakżeż więc? — Natura każdego jestestwa szuka bezkresu, a znajduje — ograniczenie!

Ktoś inny musi ją ograniczać, urywać z jej dóbr... A kto?

„Doskonałość ograniczona jest koniecznie doskonałością, pochodzącą od kogoś. Doskonałość bowiem np. poznawanie, życie, byt... w swej istocie nie zawiera ograniczenia do pewnego tylko stopnia poznawania, życia, bytu. Więc jeśli jest ograniczona, to nie sama ze siebie, lecz od przyczyny, która jej doskonałościom zakreśla granice. Gdyby i ta przyczyna była ograniczona, wróciłby ten sam argument. By tedy wytłumaczyć istnienie ograniczonych doskonałości, musimy przyjąć przyczynę bez granic, która jest pełnią życia, bytu, poznania. Tę Przyczynę nazywamy — B o g i e m". (Van Meersch. De modernismo. p. 58).

Oto jest nieograniczone źródło Dobra, oto krynica wszelkich dóbr — „wszystkiego najlepszego"!

Jeśli kto sobie życzy smacznego pokarmu, ożywczego napoju, to nigdy, przenigdy nie odsuwa się, nie odwraca od stołu! Pośród życzeń „najserdeczniejszych — umarłby z głodu i z pragnienia!

— Tak samo — kto sobie lub innym życzy „wszystkiego najlepszego", nietylko dóbr wszelkich, lecz najlepszych dóbr — bez ograniczenia — niechaj nie ucieka od ich źródła... od Boga! Tam dopiero będzie nasycony w pełni.

„Niespokojne jest serce nasze, dopóki nie odpocznie w Bogu" (Św. Augustyn).

OGNIEM I MIECZEM

Od przeszło pół roku ciągnie się dyskusja na temat obowiązkowej lektury „Ogniem i mieczem".

Chodzi tu zwłaszcza o szkoły mniejszościowe, gdzie dzieło sienkiewiczowskie musi, zdaniem niektórych, wywoływać wśród młodzieży ukraińskiej wcale niepożądane refleksy.

Dr. Zyg. Lesnodorski w „Czasie" słusznie zauważa:

„Czytanie „Ogniem i mieczem" zwłaszcza w szkołach, gdzie uczęszcza młodzież ruska, może pogłębić obustronne uprzedzenia, jątrzyć i drażnić. W każdym razie dla Rusinów jest to lektura przykra i bolesna. Z drugiej zaś strony skrajni szowiniści, nauczyciele Rusini, ze szczególnem upodobaniem rozczytują się ze swą młodzieżą w „Ogniem i mieczem", by budzić nienawiść do Polaków i poczucie doznanych niegdyś krzywd To woda na ich młyn.

Tę „ukraińską tezę", w związku z zagadnieniem: „Lektura „Ogniem i mieczem" a wychowanie państwowe" — rozwinął szeroko p. instruktor ministerjalny, dr. Saloni, w swych odczytach w Krakowie i Lwowie. Nie na tem wyczerpują się jednak zastrzeżenia, które mogłyby przemawiać przeciwko „Ogniem i mieczem", jako „podstawowej lekturze szkolnej". W powieści tej zdarzają się dość często opisy różnych okrucieństw i okropności: wbijanie na pal, wymyślne tortury, gwałty, masowe mordy i rozlew krwi, pastwienie się nad jeńcami, potworne czyny czerni, Tatarów i Kozaków. Takiego krwawego realizmu nie znajdziemy w żadnej innej lekturze, przeznaczonej dla szkoły. Otóż inaczej na to wszystko patrzy czytelnik dojrzały, inaczej dziecko.

Dzisiejsza psychologja rozwojowa zwraca uwagę na szkodliwość pewnych urazów psychicznych, które u młodocianego, nadwrażliwego czytelnika powstać mogą na tle takiej lektury. I jeszcze jeden argument natury humanitarnej: wojna jest jednak wielkiem nieszczęściem i okropnością i trudno ją traktować jako pogodne i wesołe rzemiosło. Zabijania ludzi nie można przecież rozumieć, jako pewnego rodzaju sportu. Tymczasem Wołodyjowski, „wesoły jak szczygieł", „gasi sobie — masowo — żywioły ludzkie jak świece", rozdając swą szabelką lekkie, a śmiertelne szturchnięcia, jak matka klapsy dzieciom ..

Oczywiście taka „okrutna" książka w czasach niewoli mogła spełnić wcale ważną misję budzenia hartu żołnierskiego „Inaczej jednak dziś, w czasach Ligi Narodów, w epoce Ghandiego, Rollanda i Wellsa patrzy na to młody czytelnik, z natury zapalny i uczuciowy, przytem niezdolny do wyrozumowanych kompromisów".

Co do tych „czasów Ligi Narodów", to jest oczywista przesada. Inna jest, że dr. Lesnodorski słusznie podkreśla stronę pedagogiczną lektury zbyt jednostronnej, zbyt symplicystycznie, rubasznie rozwiązującej trudne problemy. To nie jest na młode, niedoświadczone umysły.

Lecz „Ogniem i mieczem" poza nastawieniem uczuciowem ma jeszcze inną niebezpieczną stronę — pełne jest historycznych nieścisłości.

Coprawda t. zw. prawda historyczna zwłaszcza w powieści bywa poczytywana za względną.

W artykule „O! sceptiques"! („Nouvelles Littéraires" 30/IX) Julien Benda zastanawia się nad wartością określenia prawdy historycznej: „Wydaje mi się rzeczą niewątpliwą, że absolutna prawda historyczna nie istnieje. Podobnie, jak nie istnieje absolutna prawda biologiczna, ani absolutna prawda fizyczna, ani nawet matematyczna. Natomiast wydaje mi się, że zbliżona prawda historyczna istnieje; chcę przez to powiedzieć, w wielu wypadkach, jest rzeczą zupełnie możliwą odpowiedzieć nie z całkowitą pewnością, ale z prawdopodobieństwem wielce wystarczającem dla naszego umysłu".

Trzeba jednak stwierdzić, że w „Ogniem i mieczem" Sienkiewicz wręcz naopak przedstawił szereg faktów. Mówi o tem Olgierd Górka.

Przykłady tego są wprost uderzające. Niejednego np. czytelnika Trylogji serce napewno zaboli, gdy się dowie o stwierdzonym fakcie historycznym, że główny bohater sienkiewiczowski, Skrzetuski, znany z wielu źródeł i bitew, który rzeczywiście wraz z swym sługą, Rusinem, wydostał się ze Zbaraża i pierwszy przyniósł królowi oraz wojskom odsieczy wieści do Toporowa, był Rusinem, schizmatykiem, towarzyszem chorągwi kozackiej, u Firleja, nie zaś porucznikiem pancernej chorągwi Wiśniowieckiego (źródła m. in. u ks. Frąsia: Obr. Zbar. str. 57 i n.). Wróg zaś jego, Iwan Teodorowicz Bohun, zwany Fedoreńką, rzeczywista sława kozacza Ukrainy, w roku 1648-9, starszawy jegomość, mający dorosłego syna, był nie kozakiem-„chłopem", niemającym prawa podnieść oczu na kniaziównę, lecz szlachcicem, synem dzierżawcy, pisującym dyplomatyczne listy do Lanckorońskiego. (Zob. np. Z dziejów Ukrainy. Ks. Pam. p. red. W. Lipińskiego, Kijów, 1912, str. 288-93 i 492-3). Walczył on po stronie Chmielnickiego, jak tysiące niemal szlachty ówczesnej województw ruskich, wśród których spotykamy setkami nazwiska polskie, nietylko wiary „greckiej" i dysydentów, ale także „rzymskiej", nieraz nawet członków rodów senatorskich, nie wyłączając synowca słynnego „bicza Tatarów", Chmieleckiego. Sam zresztą szlachcic „urodzony", Bogdan Chmielnicki, w młodości swej służył pod Żółkiewskim. Ojciec zaś jego, Michał Chmielnicki, o którym nawet ukraińska literatura historyczna niemal prawie wcale nie wspomina, był rycerzem, mającym naprawdę piękną kartę w dziejach Rzeczypospolitej, stokroć piękniejszą niż przedstawiony w legendzie męczeństwa stryjec Jeremiego — Dymitr Wiśniowiecki. Kniaź Dymitr bowiem zawisł na haku w Stambule za najazdy (1563), podejmowane z chciwości i prywaty, wbrew interesom i rozkazom Rzeczypospolitej, gdy Michał Chmielnicki zginął jako prawdziwy rycerz w służbie Rzeczypospolitej i chrześcijaństwa, był bowiem dowódcą wolontarjuszy w armji Żółkiewskiego pod Cecorą i tam poległ na polu chwały razem z najwznioślejszym dziejów polskich bohaterem.

Na każdym kroku zaznacza się ironja tego dysonansu między twórczością a rzeczywistością, czy raczej wspomniana a niesamowita zemsta źródeł za błędne nastawienie wobec przeszłości. Idzie ona bowiem dalej: dziki, bestjalski wódz, wcielenie rozpasania chłopskiej ruskiej czerni, Maksym Krzywonos, za takiego zresztą poczytywany, nawet przez literaturę ukraińską, był już tak całkiem na przekór wyobraźni Sienkiewicza — właśnie Szkotem! („Ein geborner Schott"; por. Z. Dz. Ukr. str. 509). Ten właśnie Krzywonos był Szkotem, a więc pochodził z nacji, która nawet Anglików za gorszą rasę poczytuje. Nie był Szkotem natomiast pięknowłosy, subtelny i romantyczny Hassling-Ketling, który zkolei był w rzeczywistości historycznej Niemcem Heykingiem i jako ten Heyking wysadził w powietrze, czy też przypadkowo zginął przy eksplozji w roku 1672 w Kamieńcu. Możnaby tak wyliczać bez końca fakty rzeczywistości, wręcz odwrotne, niż je wyczuł za przewodem Kubali autor „Ogniem i mieczem", np. sześciu Wołodyjowskich szlachciców-kozaków walczy u Chmielnickiego w pułku bracławskim, nie zaś w pułkach Jaremy i t. d, podobnie główna, obok Chmielnickiego, postać w historji tej wojny, pułkownik czehryński, Stanisław Krzyczewski, którego Sienkiewicz wbija już zimą roku 1648 na pal (t. II, str. 115 i nast., wyd Ossol.), znacznie później, bo dopiero 3 sierpnia roku 1649 prawdopodobnie po przetrzepaniu oddziałów Wiśniowieckiego), zmarł jako ranny jeniec, ale pod opieką medyka, u Radziwiłła



Podobnie, rzekomo bohaterski, ofiarny, tylko o dobru Polski myślący, kozacko-wołoski kniaź Jarema i jego heroiczni, a bezwzględnie w jego ideę polską wierzący towarzysze i podkomendni, nietylko nie istnieli, ale nawet — wbrew założeniom sienkiewiczowskiej wyobraźni o Polsce z połowy wieku 17-go — istnieć nie mogli.

Nie szedł nigdy przez Ukrainę okrzyk przerażenia serc kozaczych „Jarema idzie", natomiast musiał iść przez serce każdego ówczesnego, myślącego i wartościowego, Polaka lęk grozy i rozpaczy, że banita, podstępny rabuś okrutnik, knujący raz za razem przed wrogiem, z pohańbieniem najbardziej zasadniczych obowiązków żołnierza i wodza, kniaź Jarema, mógł się porywać na króla, chciał go mordować i wyrzynać senatorów z zemsty za zdemaskowanie go jako oszusta procesowego. Nie przez dusze kozaków i chłopów Ukrainy, ale przez dusze czujących i myślących Polaków musiała iść groza przerażenia, że tylko tacy właśnie ludzie byli ulubieńcami gminu czy „narodu" szlacheckiego ówczesnej Polski.

Co do Jaremy możnaby tu może uczynić pewne zastrzeżenia, które jednocześnie pozwolą nam zrozumieć stanowisko Sienkiewicza wobec niego. Istotnie Jarema miał w sobie wiele tego sobiepaństwa i pychy, które go w naszych oczach demaskują i dyskwalifikują. Któż jej jednak nie miał. Toż tacy „najszlachetniejsi" nawet w naszym pojęciu, jak Sobieski, mieli także swoje ciemne karty. Ten ostatni zanim przysłał do hetmana Czarneckiego, był w obozie najeźdźców szwedzkich. A potem dla celów dynastycznych prowadził dość ciekawą grę dyplomatyczną, a dla celów majątkowych brał na usługi żydów. To nie przeszkadza jednak, że jest bohaterem narodowym i obrońcą chrześcijaństwa.

Przypuszczam, że o Jaremie możnaby powiedzieć coś podobnego. Był gwałtownikiem i dzikim satrapą, zabiegał prawem i lewem nieraz o prywatne korzyści, z drugiej jednak strony z jego to ust paść miały słowa: Niech przepadnie Ukraina, byle Rzeczpospolita ocalała

Tej wielostronnej prawdy o Jaremie Sienkiewicz nie pokazał. Ostatecznie nie miał tego obowiązku. Ponieważ jednak epoka, której dotyka w swej powieści, ma swoje dwa oblicza, z których pisarz ukazuje ledwie jedno, więc też lektura „Ogniem i mieczem" niewątpliwie nie nadaje się dla niewyrobionego, niekrytycznego umysłu. Zwłaszcza dla umysłu dziecka, które może wynieść ewentualnie z tej lektury błędne poglądy. Ewentualnie powiadam, gdyż np. w moich wspomnieniach „Ogniem i mieczem" — a czytałem je jako chłopiec w dwu językach, w polskim i wkrótce w rosyjskim — pozostało czemś w rodzaju powieści Coopera czy Maynreida — barwną Robinsonjadą, którą bierze się niezbyt na serjo. Pozwolę sobie zauważyć przytem, że ów lęk przed podsycaniem okrucieństwa w dziecku wskutek lektury wojennej beletrystyki jest trochę przesadny, tak samo jak lęk przed wszczepianiem nienawiści rasowej Wyznam — kto chce — niech się dziwi — że miałem chwilę szczerej sympatji dla Bohuna i dla jego szaleńczej miłości, a Wołodyjowski był dla mnie przedewszystkiem zabawny, potem dopiero bohaterski.

Niema więc gotowej recepty na reakcję myśli czytelnika wobec dzieła. Nie przeszkadza to nic jednak uznać, że względy ostrożności nakazują raczej odsunąć lekturę książki tak dynamizującej jak „Ogniem i mieczem". Jestem zdania, że możnaby ją zastąpić np. „Potopem", który zresztą byłby właściwym wstępem do trylogji, a który jako dzieło artystyczne i powieść historyczna nie budzi już tak zasadniczych zastrzeżeń. *f. n. cki.*



Zamek warszawski w śniegu.

ZIMA, ŚNIEG, MRÓZ... I SPORT

Przyszła do nas pani zima, jak zwykle ze swymi towarzyszami, mrozem i śniegiem. Sypie śnieg z nieba najpierw małemi igiełkami, potem całemi płatami, zaścielając ziemię całą, pola, lasy, łąki, górskie zbocza i szczyty. Drzewa gną się pod okiściami śniegowych puchów, na dachach stroszą się puszyste czapy bielutkiego śniegu.

Jest biało, cicho, mroźnie, poprostu zimno. A w ludziach wzbiera ochota do zabawy. Obielone śniegiem równiny, błyszcząca, ścięta lodem, tafla jeziora, górskie szczyty jaśniejące w słońcu — wszystko przemawia do człowieka nieprzepartym urokiem, porywa jego fantazję, każe mu rozprężyć ramiona i zmierzyć się z mrozem i śniegiem we wspaniałym, polotnym, sportowym biegu. Przypina więc człek narty lub łyżwy do nóg i rusza z ochotą. Gdy w szalonym pędzie spada narciarz z gór, zda się, że skrzydła mu u ramion wyrosły. Pomyślcie tylko skok narciarski na blisko sto metrów, toż to doprawdy równa człowieka z ptakiem.

Wiatr świszcze w uszach, w oczach miga krajobraz, najpierw ziemia z pod nóg się usuwa, niebo otwiera się na przyjęcie ptaka-narciarza, potem gwałtowny spad, ziemia rośnie, migają wierzchołki ośnieżonych drzew, lśni śnieżysty stok skoczni, jak postaw białego sukna, trzask suchy płóz i narty już suną po płaszczyźnie.

Hej! dobrze narciarzowi.



Niefortunny narciarz.



JADWIGA Z DZIAŁYŃSKICH ZAMOYSKA

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI

Charakterystyczną cechą wielkich ludzi jest to, że przez życie idą cisi, przez ogół niepoznani. — Po śmierci dopiero rośnie ich sława, potęga, — po śmierci dopiero pęka gruba zasłona pokory ich życia, odsłaniając porywające, cnotami przepełnione istnienie. A im dalej od chwili śmierci, tem jaśniejsze i większe plotą się nimby dookoła ich spopielałych już skroni.

Jadwigę Zamoyską, której życie, zwłaszcza młodość, z okazji dziesięciolecia jej śmierci w ogólnych zarysach naszkicować pragniemy, znamionuje taż sama cecha.

W czasach ciężkich, — bo w grzmocie armat i świście kul, w pożarze domostw i wśród jęków konających, ujrzała światło dzienne w Warszawie Jadwiga z Działyńskich Zamoyska. Był to dzień 4 lipca 1831 r.; kiedy Warszawie zagrażali Moskale.

Lata pierwszej młodości Zamoyskiej płynęły pod znakiem twardych niewygód, trosk i znojów, związanych zawsze z życiem tułaczem, na które z chwilą wzięcia Warszawy przez Moskali pp. Działyńscy byli skazani. W takiej więc atmosferze kładziono podwaliny przyszłemu życiu wielkiej niewiasty, — w tak burzliwej atmosferze kształtowało się młodociane życie jenerałowej — hartowało się, jak w ogniu żelazo.

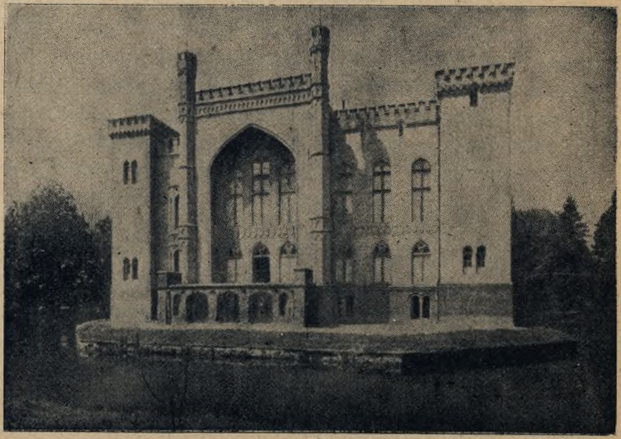
Minęły lata dziecięce. Nadpłynęła młodość a z nią większa świadomość życia, — pełnia wzniosłych porywów, ideałów. Zamoyska rozpoczęła systematyczną naukę. Uczyła się chętnie i pilnie. Postępowała chyżo naprzód „mimo, że — jak mówi — nie uczono nas podług wymagań pedagogiki". „Jednak — pisze w swoich pamiętnikach — doszliśmy do przekonania, że człowiek nie na to stworzony, ażeby sobie dogadzał i dla siebie żył, że jest stworzony dla służenia Bogu, krajowi i społeczeństwu".

Wyrazem dążności do pracy społecznej, pracy dla bliźnich, której Zamoyska całe swe życie poświęciła jest między innemi to, że wcześnie marzyć poczęła o działalności nauczycielskiej, o nauczaniu ludu, o pisaniu dla ludu i dzieci. A nie było to tylko marzeniem, gdzie bowiem sposobność się nadarzała, manifestowała swe pedagogiczne usposobienie. Uczyła swe młodsze siostry, a pewną starszą osobę nawet czytania i pisania uczyć poczęła. Nieco później przygotowała 18-letnią żydówkę do przyjęcia chrztu św.

Ale nietylko ideały rodziły się w jej duszy, wrzała w niej również walka. Różne były tego przyczyny. Wszelako pierwszą i niewątpliwie najważniejszą to czytanie książek. Książki czytywała Zamoyska całą duszą. Nieraz, o ile tylko zdrowie na to pozwalało, dni całe przepędzała w bibliotece. Czytała wszystko, lecz nie powieści. „Powieści — mówi nie czytałam nigdy, bo wiedziałam, że zakazane, a ja też nie fikcji, ale prawdy, a przynajmniej tego, co za prawdę brałam byłam ciekawą". Aczkolwiek rodzice, zwłaszcza ojciec, pilnie czuwali nad wyborem książek, mimo to do rąk młodej Zamoyskiej dostały się książki, tchnące niemoralnością i bezbożnością 18-go wieku. Wskutek takiej lektury duszę młodej panienki opanowały sprzeczności, które spotęgowały się do tego stopnia, iż zrodziły poważne wątpliwości w stosunku do wiary św. — Szamotania ducha jakoś szybko ujawniły się na zewnątrz i nie ukryły się przed badawczem okiem jej brata. Brat też uwolnił ją od tej straszliwej walki niepewności i wahań.

Walka raz rozgorzała nie łatwo się kończy. Przycicha, by z większą wzrosnąć siłą. Podobnie działo się z duszą Zamoyskiej. Do gorszącego wpływu książek uprzednio przeczytanych, dołączył się wzmożony wpływ nowych, który niemal doszczętnie wyniszczał w niej świętą wiarę. I doszłoby może do ostateczności, gdyby Bóg nie zaszczepił, mimo wszystko, w młodej duszy tego niepojętego, gwałtownego i tak stanowczego pędu do doskonałości, do piękna... Na dnie jej duszy tlił się przecież jeszcze płomyk miłości Bożej, — tlił się, by kiedyś buchnąć żarem i stopić niejedne twarde serca ludzkie.

Tymczasem jednak, by odnieść zwycięstwo, trzeba było walczyć. Trawiona walką wewnętrzną śpieszy do spowiedzi św. Za pokutę ksiądz każe czytać żywoty świętych. I oto tu znowu widoczny jest palec Boży. Czytanie bowiem żywotów świętych wskazało jej początek drogi do doskonałości prowadzącej. Nie minęło dużo czasu a męczarnie duchowe się wznowiły. Jadwiga Zamoyska ucieka się przeto ponownie do spowiedzi św., tym razem w pewnym francuskim kościele. Spowiedź ta była wyraźnym znakiem Opatrzności; stała się kamieniem węgielnym pod przyszłe jej życie rodzinne i społeczne. Spowiednik bowiem wyjaśnił jej w sposób wyraźny i dla niej zupełnie zrozumiały istotę i cel życia ludzkiego, pokazał jej: „jak wszystko, co czynimy, mówimy, myślimy, to, czego się wyrzekamy, to, co zaniedbujemy, co znosimy, musi być albo zgod-



Kórnik.

nem albo przeciwnem prawu Bożemu, że niema drogi pośredniej; że to co nie jest wyraźnie zgodnem z wolą Bożą, to musi być jej przeciwnem; że niema istotnego porządku, szczęścia, spokoju, jak w tej zgodzie z wolą Bożą i z taką siłą powiedział, że poza Bogiem i wolą Jego wszystko jest niczem i że poza tem Jednem, nic troski naszej nie jest warte".

Nową kartę w życiu Zamoyskiej stanowi dzień jej godów małżeńskich. Wychodzi zamąż nieprzygotowana do życia małżeńskiego, a nawet niechętna. Wszelako swą wolę podporządkowuje całkowicie woli rodziców i zadość czyni ich naleganiom i prośbom.

Pierwsze lata pożycia małżeńskiego były dalszą, twardą szkołą życia. Przedtem nie znała, przynajmniej praktycznie, najprostszych zasad gospodarstwa domowego; — nie znała również wyszukanych form życia. Jedno zaś i drugie było teraz koniecznością; żyli bowiem wśród elity na emigracji. Jakkolwiek ostatecznie wszelkie trudności pokonywa, to jednak tem więcej odczuwa ujemne skutki braku życiowego wyrobienia. I dlatego pyta siebie, czy niema i dlaczego niema szkoły czy zgromadzenia, któreby uczyło życia gospodarczego z wszystkiemi jego potrzebami? — Myśl ta nie pozostała płonnem tylko pytaniem. P. jenerałowa bowiem urzeczywistniła ją później, zakładając w tym właśnie celu „Zakłady Kórnickie".

Jako małżonka-matka, Zamoyska wprzęga się pod sztandarem pokory w rydwan pracy rodzinnej i społecznej.

Pominąwszy jej wielką miłość ku mężowi i dzieciom, którym dała wychowanie wybitnie katolickie, zwrócić należy uwagę na jej szeroką działalność społeczną, wychowawczą i pisarską.

Duch jej programu wychowawczego na tem polega, by katolik nie zasklepiał się w sobie samym, lecz, by oddziaływał zasadami swej religji na zewnątrz, w każdej dziedzinie życia: w rodzinie, przy warsztacie pracy, w życiu towarzyskiem, ba, nawet w życiu politycznem i państwowem. A zatem duch jej programu pokrywa się z duchem Akcji Katolickiej.

Uznaniu dla jej programu dał wyraz J. Em. Ks. Kardynał-Prymas Dr. Hlond na zjeździe ku uczczeniu 100-nej rocznicy urodzin Zamoyskiej, kiedy powiedział: „Szkoda, że postać pani jenerałowej tak mało jest znana, a jej nauki tak mało rozpowszechnione. Chciałbym, aby wszystkie jej wychowanki były apostołkami jej ducha, gorliwemi pracowniczkami w Akcji Katolickiej, idąc w tem jej śladami. Pomoc pani jenerałowej, osoby świeckiej, w akcji kościelnej — to przecież niewątpliwie to, co dziś zowiemy Akcją Katolicką".

Zasady jej szkoły życia doskonale odzwierciedlają się w książkach, których niemało napisała. Niestety, nie wszystkie jej książki u nas doceniono. Prawda, — niektóre doczekały się kilku wydań, inne zaś, np.: „O wychowaniu", tak cenione zagranicą, na kilka języków tłumaczone dzieło, — są u nas mało znane i rozpowszechniane.

Za szeroką jest działalność ś. p. jenerałowej Zamoyskiej, by móc ją w krótkim artykule w szczegółowe wytyczne ująć, to spełni niewątpliwie książka, która się niebawem ukaże, napisana przez p. M. Grodzicką.

Naczelnem hasłem działalności ś. p. jenerałowej było: „Służyć Bogu, służąc Ojczyźnie; służyć Ojczyźnie, służąc Bogu".

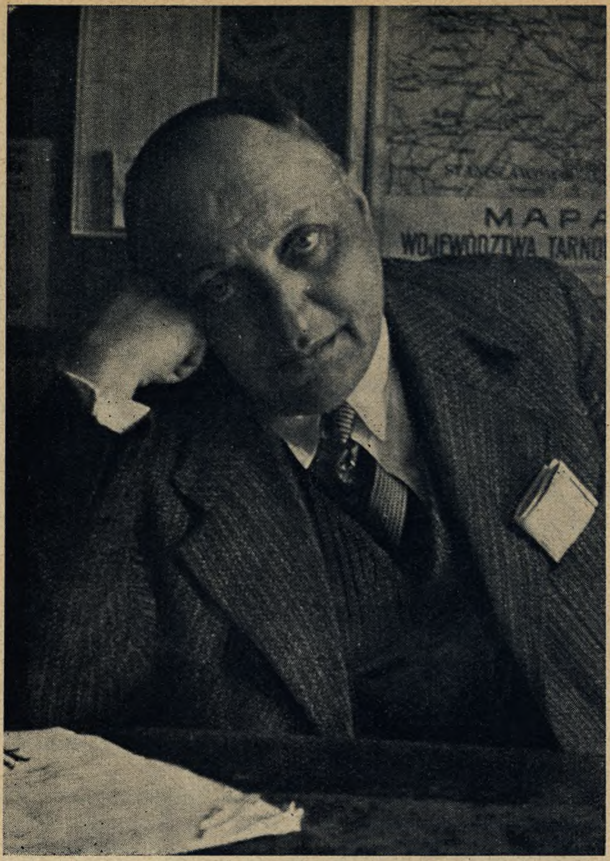
Życie zakończyła ta namiętna bojowniczka Boża, wypowiedziawszy słowa „O Raju", 4 listopada 1923 r.

Porównując z oddali lat dziesięciu dzieło całego życia Zamoyskiej, nacechowane atmosferą świętości, z młodością tak bujną i błędną, zaprawdę uznać musimy działanie Boże w duszach ludzkich.

O, tak, — człowiek świętym się nie rodzi, — świętym się staje przez pracę nad sobą.

Maksymiljan Rode.





U TADEUSZA KOŃCZYCA

Dwa razy porozumiewałem się z Kończycem przez telefon, zanim się wybrałem na rozmowę. Zajęty, bardzo zajęty.

— Dzisiaj przyjadę napewno — oświadczam stanowczo.

— Co u pana słychać? — słyszę miły głos kochanego marzyciela. — Co pan robi?

— Pluję krwią, więc proszę jak najprędzej o rozmowę, bo będzie zapóźno. Ze mną źle. Zdycham...

Zdaje się, że to go nareszcie przekonało.

— Za godzinę!

Jestem więc na Miodowej — u Kończyca. Miłe, szalenie miłe i gustownie urządzone mieszkanie. Wszystko w tem mieszkaniu jest na swojem miejscu oprócz gospodarza. Jest na mieście — zaraz ma przyjść.

Chodzę z pokoju do pokoju. Od mebla do mebla, od ściany do ściany. Obrazy, obrazy, obrazy... W tak kulturalnym domu spotykają mnie same obrazy... Jest Brandt, Chełmoński, Kossak, Gierymski, Cieślewski i Bóg wie kto jeszcze. Zły już jestem, lecz sytuację ratuje Nartowski. Dwa obrazy mojego kochanego Nartowskiego przyprawiają mnie o dobry humor. I do tego krowa... Tak! Oczywiście, starego, lecz zawsze jednakowo dla płci pięknej niebezpiecznego, Lasockiego!

I książki. To tu, to tam — wszędzie.

„Po mlecznej drodze". Czytam: Aldonie i Tadziowi Kończycom — z całego serca wszystkie uśmiechy tej książki ofiaruje Kornel Makuszyński 1933. Książka nierozcięta jeszcze coprawda, ale to pewnie siedemdziesiąte któreś wydanie. Makuszyński... „Niemcy à la minute" Zygmunta Nowakowskiego „z serdecznym uściskiem dłoni". Ten Nowakowski to zawsze potrafi mądrze się urządzić. Wybrał sobie do ściskania dłoń, którą ściskałbym z ochotą całe życie. Niech spróbuje Szyllerowi-Szkolnikowi dłoń uścisnąć, albo upiorowi z Düsseldorfu.

I wreszcie... Prędski — zredukowany. Pardon! Prędskiego „Bełdowski zredukowany". Też zdaje się ściska dłoń. Życzę mu, niech go tak ściśnie, aby już „dalszego ciągu" „Alkoholu" nigdy nie napisał.

W salonie cudnie. Miło, przyjemnie. Pianino, duża otomana. Patefon, płyty. Oto jedna — muzyka W. Krupińskiego, słowa T. Kończyca, śpiewa T. Faliszewski.

— Czekaj — myślę sobie — porozmawiamy jeszcze o tym grzechu.

„Wróć do mnie" — muzyka W. Krupińskiego, słowa T. Kończyca. „Tango węgierskie" — muzyka W. Krupińskiego, słowa T. Kończyca. I t. d. i t. d.

Przyszedł Kończyc. Serdecznie witamy się. Odrazu poszedł kręcić telefon. Po chwili wraca.

— Zaraz, poczęstuję pana cygarem.

Gdy przynosi z przyległego pokoju pudełko cygar, wysypuje je po drodze na podłogę.

— Pan ma złe oczy, panie Stanisławie — powiada Kończyc. „Mali occhi".

Zapalam cygaro. Dobre.

W międzyczasie ktoś przyszedł. Znowu telefon. Słyszę, Kończyc kręci. Idzie dziś na jakieś imieniny, obraz chce ofiarować w prezencie, a przysłali mu zieloną ramkę zamiast złotej czy coś w tym rodzaju. Nieporozumienie...

Wreszcie siedzimy naprzeciw siebie.

— Cieszę się, że mogę z panem zrobić wywiad. To wszystkich bardzo zainteresuje — powiadam.

Kończyc bardzo chwali moje dotychczasowe wywiady. Jest uprzejmy.

— Moją nowelę też pan kiedyś chwalił, ale jej nie chciał wydrukować w „Kurjerze Warszawskim" — powiadam. — To samo pewnie byłoby z wywiadami.

Palę cygaro, niezbyt umiejętnie. To bawi mojego rozmówcę. Proszę go, aby coś sam o sobie powiedział na początek.

— Potem pana będę indagować. Tymczasem coś o sobie...

— Życie moje rozpada się na dwa okresy. Urodziłem się na wsi, wychowałem się na wsi i miałem zostać hreczkosiejem. Niestety! We wczesnej młodości uległem psychozie literackiej, nabyłem pismo „Tygodnik Polski" i prowadziłem go ze dwa lata. Potem wyjechałem na okres jedenastu lat na wieś. Pierwszy wiersz wydrukowałem w 1898 roku, gdy byłem w czwartej klasie.

— Ustalimy teraz pański wiek. Miał pan wtedy 13 lat.

Kończyc śmieje się, kiwając głową. — Może...

— Potem pracowałem jako krytyk teatralny „Gońca", „Bluszczu", „Dziennika dla wszystkich". W 1901 roku w „Kurjerze Codziennym" Lorentowicz wyróżnił na konkursie mój artykuł „Otchłań".

— A jak pan dostał się do „Kurjera Warszawskiego"?

— Nazywam się Alfred Grot-Bęczkowski. Moja matka Wanda była powieściopisarką. Jej najlepszą powieść „Anima Vagans" tłumaczono na różne europejskie języki. To była pierwsza próba dokonania przekroju duszy kobiecej. Matka moja była żoną Władysława Korotyńskiego, naczelnego redaktora „Kurjera Warszawskiego". Ja obrałem pseudonim Tadeusz Kończyc, aby wypróbować swe zdolności literackie pod przyłbicą...

— I jak zaczęło się w „Kurjerze Warszawskim"?

— Od 1904 do 1915 roku poświęciłem się działalności społecznej na wsi. Gdy mi w czasie wojny spalono folwark, przyjechałem do Warszawy. Tu ś. p. red. K. Olchowicz, którego pamięć jest mi bardzo droga, namówił mnie, abym pojechał obejrzeć pobojowiska. Od tego zaczęła się moja praca w „Kurjerze Warszawskim". Przedtem byłem stałym korespondentem i delegatem „Kurjera Warszawskiego" na wszystkie zjazdy rolnicze. Ale pierwszy mój wiersz w „Kurjerze Warsz." był drukowany już w 1906 roku, za czasów red. Brzezińskiego.

— To już wiemy cośniecoś o panu wogóle. Mojem zdaniem, jest pan cichym marzycielem. O czem pan marzy?

Gdy to mówię, przypominają mi się słowa ś. p. Z. Dębickiego, który potrafił w tak trafny sposób określić istotne oblicze Tadeusza Kończyca: „Dusza Kończyca jest w stałym rozdźwięku z rzeczywistością. Nie umie on, nie może jej afirmować, czuje natomiast nieustannie na sobie jej kajdany i jednocześnie ma świadomość, że zrzucić ich nie potrafi, że musi je dźwigać cierpliwie. Stąd w poezji jego tyle smutku i melancholji, na dnie zaś tego smutku i melancholji czai się niebezpieczny czerw pesymizmu".

— A więc o czem pan marzy? — powtarzam swoje pytanie.

— Jestem połączeniem entuzjasty z pesymistą. Tego dowodzi niejeden mój wiersz. We mnie łączy się umiłowanie przyrody z żalem za odchodzącem życiem. A poza tem nie marzę o niczem.

— A więc jestem w błędzie, uważając pana za marzyciela?!

Znakomity poeta, tak bardzo lubiany przez kulturalną Warszawę, niespokojnie porusza się na krześle.

— Nie... widzi pan... nie mówię, że jest pan w błędzie, tylko... Poeta Daniłowski powiada: „Marzenia — śmieszny to towar".

— To niech już będzie wina Daniłowskiego, trudno.

— Mój stosunek do życia jest raczej negatywny, ale energja, moja wrodzona energja, nie pozwala mi siedzieć bezczynnie.

— A co pan myśli o swej twórczości poetyckiej?

— Nic. Moja twórczość mnie nic nie obchodzi. Niech się pan nie dziwi, mówię to panu zupełnie szczerze.

— Jest czemu się dziwić. Zresztą, może dlatego tak bardzo interesują się inni pańską twórczością, iż pana samego ona nic nie obchodzi — powiadam w zadumie i postanawiam w duchu nigdy nie interesować się tem, co napiszę. Może to pomoże — kto wie... I głośno powiadam: A co pan sądzi wogóle o współczesnej naszej poezji?



Tadeusz Kończyc, podług portretu Haliny Jasińskiej.

— Poezja, mojem zdaniem, wcale nie upadła, tylko ma bardzo jednolity poziom. Niema fenomenalnych talentów, lecz jest wielu zdolnych i utalentowanych ludzi. No, ale może napije się pan herbaty...

— Chwileczkę, jeszcze mam...

— Wystygnie.

— Zawcześnie podali.

— Niech pan nie krytykuje mojej starej Frani...

— Właśnie, właśnie... Skoro już mówimy o krytyce, to proszę... niech stygnie... herbata, bo o krytykę...

— Chodzi panu o teatralną krytykę?

— Tak.

— Zadaniem krytyki teatralnej jest wydobycie piękna utworu i piękna wykonania. Krytyka powinna z serdeczną pobłażliwością wytknąć wady. A jeśli chodzi o polską krytykę teatralną, to powinna w pierwszym rzędzie popierać twórczość rodzimą. Co do utworów scenicznych, to nadmiaru dobrych sztuk niema teraz nigdzie.

— Jak pan się odnosi do własnych książek?

— Wszystkie moje książki lubię i wszystkie mi są obojętne.

— To mnie pan zdziwił!

— Niech się pan nie dziwi; to szczera prawda. Interesują mnie w chwili twórczego wysiłku. Piszę, bo muszę... Gdy coś tworzę, wtedy je kocham; potem, po wydaniu. stają się obojętne.

— A co pan najchętniej czytuje?

— O!... to mnie pan na krzyżu rozciągnął. Najchętniej czytuję dobre powieści kryminalne.

Zamieniłem się cały w wykrzyknik zdumienia.

— Tak... oczywiście gdy jestem zmęczony. Gdy nie jestem zmęczony, to czytam sobie Dickensa, Jocay'a, Galsworthy'ego, Prusa i Rodziewiczównę...

— ...

— Tak, Rodziewiczównę, którą bardzo wysoko cenię za jej talent, wielkie serce i za to, że nas uczyła tak bardzo kochać ziemię rodzinną. Wśród pisarzy współczesnych także wielu lubię i cenię.

Palę cygaro. Kończyc wstaje, aby zbliżyć się przez naoścież otwarte drzwi do stolika, stojącego w sąsiednim pokoju. Herbata. Siedzę.

— Można panu osłodzić?

— Co? Wywiad?

— Nie, herbatę.

Widzę ze swojego krzesła, przez szeroko otwarte drzwi salonu tego kochanego człowieka o dobrej inteligentnej twarzy, jak stoi nad szklanką przeznaczonej dla mnie herbaty. W ręku ma łyżeczkę z cukrem.

— Dwie, trzy?

— Nie — powiadam — półtorej łyżeczki. Ale najpierw musi mi pan powiedzieć...

— Idę już, idę...

Gdy wraca, mówi, nie czekając na moje pytanie:

— Za dewizę każdego prawdziwego pisarza uważam skromność.

W tej chwili czuję dla niego wdzięczność. Powiedział to tak, iż jestem mu sam za siebie ogromnie wdzięczny. Za to, iż tak to powiedział, że ja to od niego posłyszałem. Trudno. Tak czułem...

— Pobił pan wszystkie rekordy... — powiadam cicho, niewiadomo czemu przebiegając wszystkie etapy mojej z nim znajomości. — Pobił pan wszystkie rekordy...

— Czego?

— Skromności.

Stoi teraz pochylony nade mną i mówi swym miękkim, miłym, spokojnym głosem:

— Czyż warto o coś usilnie zabiegać? „La vie est dure". I krótkie...

— Mnie o tem nieswojo mówić panu — odzywam się — ale wiele, wiele razy mówiłem o panu i zawsze słyszałem od ludzi: skromny, cichy i skromny. Pan nie ma wrogów — powiadam, patrząc w jego oczy. — Pan nie ma wrogów...

Chwila milczenia. A potem znów:

— Co pan teraz wydaje?

— Ukazał się właśnie zbiór pod tytułem „Sielanka", nakładem Hoesicka. Szykuję do druku wybór poezyj. Ale chodźmy nareszcie pić herbatę.

Idziemy do stołu. Świetny poeta potrafi być niemniej świetnym i uprzejmym gospodarzem.

— I konfitury!... — wykrzykuję.

— Dzieciak z pana, panie Stanisławie — dobrotliwie uśmiecha się Kończyc.

Rozmawiamy o tem i owem. Kończyc dedykuje mi swoje dwa zbiorki — „Śladem ostatnich snów" i „Ognisko". Gdy mu dziękuję w gorących słowach, odwraca głowę — nie lubi podziękowań.

Zapytuję go o pracę w ZAIKS-ie.

— Jest pan prezesem najpotężniejszego w Polsce związku autorów i kompozytorów — powiadam. — Ma pan zapewne szalenie dużo roboty...

— O tak, praca w ZAIKS-ie zabiera mi ogromnie dużo czasu.

— Pańskim najbliższym współpracownikiem tam jest Jerzy Kossowski, zapewne ma pan w nim tęgiego pomocnika?...

— Wogóle mam świetnie dobrany zespół towarzyszów pracy... Serdeczni, kochani ludzie. Ale może można panu służyć jeszcze szklanką herbaty — powiada.

Śmiejemy się. Muwimy jeszcze o ZAIKS-ie. Kończyc uważa, że „ZAIKS" powinien być przedewszystkiem instytucją ratującą swych członków, w jak najszerszym zakresie im dopomagającą.

— Tak — mówię — pan ma charakterystyczne metody rządzenia ZAIKS-em. Wogóle w życiu pan tem samem rządzi się.

— Czem?

— Trzema rzeczami: sercem, sercem, i jeszcze raz sercem. O panu mógłbym powiedzieć, iż jest pan chrześcijaninem nie z miana, ale z czynu.

Chwilę milczymy. Dostałem w międzyczasie znowu cygaro. Postanawiam palić, choćby poto, aby już nigdy więcej cygar nie chcieć nawet na oczy widzieć.

— Pański kolega redakcyjny, świetny dramaturg i porywająco prawdziwy człowiek, Wacław Grubiński, określił swój stosunek do reportażowego typu powieści, który jest obecnie bardzo modny, jako zupełnie negatywny. A pan?

— Wprost przeciwnie. Reportaż jest znakiem czasu. Jest najlepszym sposobem wyrażenia ducha czasu. Jest tak potrzebny, jak auto i elektryczność...

— Skoro mowa o aucie i elektryczności, to już i film... z którym pan ma dużo do czynienia.

— Byłem kierownikiem literackim produkcji „Leofilmu" — daliśmy „Urodę życia". „Zew morza", „Policmajster Tagiejew", „Legjon ulicy" i inne. Pozatem z Szaro w „Glorji", „Przedwiośnie" i pierwszy polski dźwiękowiec „Moralność pani Dulskiej", z wytwórni „Heros".

— Czy chciałby pan podróżować?

— Owszem, lubię podróże. Znam całą niemal Europę, trochę Azji. Jestem namiętnym wędkarzem.

— A konną jazdę?

— O, tak! Bardzo, od siódmego roku życia. Ale teraz wiek poważniejszy, zbliżająca się pięćdziesiątka...

— A bridge?

— Bardzo lubię.

— Skoro mowa o bridgu, to może mi pan powie, jakie jest pańskie zdanie o wielkim w tym kierunku talencie Kornela Makuszyńskiego?

— A właśnie chciałem panu powiedzieć. Dopasowaliśmy się z nim nadzwyczajnie. Bardzo lubię z nim grywać.

— Jaka była najoryginalniejsza przygoda w pańskiem życiu?

Kończyc śmieje się.

— Z wyjątkiem naszej obecnej rozmowy — dodaję.

— Oczywiście... Oryginalne przygody miałem innego rodzaju, ale o tych przecież nie mogę mówić.

— Przeciwnie, to napewno zainteresuje czytelników. To bardzo ciekawe, proszę...

— Nie. Oryginalną i straszną przygodą było natknięcie się na trupa zabitego człowieka. Wtedy mi wszystkie włosy dęba stanęły, unosząc czapkę do góry. Nie wiedziałem, przechodząc obok zabitego, że on tam leży — i to właśnie jest najdziwniejsze. Dopiero nazajutrz ustaliłem ten fakt. To było dawno...

— Nie chce pan mówić o miłości, może więc pan powie o roli, jaką przypisuje kobiecie w życiu kulturalnem Polski?

Głos Kończyca spoważniał, nabrał matowej barwy:

— Drogi panie Stanisławie, kobietę stawiam najwyżej na świecie. Kobieta daleko więcej jest warta od mężczyzny. Największem ukochaniem mojego życia była moja matka. Życie moje załamało się z chwilą jej śmierci...

— Nie znam piękniejszego wiersza, od drukowanego przez pana parę miesięcy wstecz w „Kurjerze Warszawskim", wiersza „O matce". To był prześliczny wiersz...

Milczymy. Obaj myślimy o tem samem — o uczuciach ku kobiecie-matce. I coś ciepłego rodzi się w mojem sercu dla tego człowieka, coś bardzo ciepłego... Jakaś nić jest między nami — miłość ku matce, której tak bardzo pełen jest ten człowiek...

Przez kilka długich chwil nie mówimy nic. Poprostu nie mamy o czem głośno mówić.

A potem ośmielam się przerwać milczenie.

— Chcę panu zadać bardzo głupie pytanie. Jak pan sobie wyobraża świat?

— Ech, proszę pana... cóż to jest świat? Świat, to bardzo mała przestrzeń, w której natłoczone są nieszczęsne istoty ludzkie, same nie wiedzące poco tu przyszły. Zresztą znajdzie pan odpowiedź, zaraz... Niech pan przeczyta wiersz...

Kończyc odszukuje w zbiorze swych poezyj „Śladem ostatnich snów" wiersz, który mi głośno czyta:

Gośćmi tylko jesteśmy na tej szarej ziemi
Przybyłymi na krótszą, lub dłuższą gościnę —
Przyszedłem zająć miejsce pomiędzy innemi
I wiem, że to na chwilę — i wiem, że przeminę...

I dlatego, choć duszę wciąż mi los rozrania
Z rezygnacją spoglądam na wszystko dokoła:
Bo mam w sobie świadomość tego przemijania
Wszystkiego — czy jest z czarta coś, czy też z anioła...

— Świetnie! Wspaniale!... — chcę krzyknąć.

Kończyc stoi obok mnie — trwamy tak w zamilczeniu zupełnem.

Zapadła cisza. I z tem jest mi ogromnie dobrze.

Tylko w pobliskim kościele dzwonią dzwony na majowe nabożeństwo. Ale to nic — jest cisza. Taka cisza, która naprasza się, aby powiedzieć słowami jednego z jego wierszy, iż:

...tylko czasem z dna duszy, której czas nie zmienia
Powstają dawne bóle i dawne cierpienia
Wołając głosem wspomnień o smutek i łzy...

Nie mówimy już więcej o niczem.

Stanisław Brochwicz.



Tokujący głuszec.

ULICA ŻYCIA...

Ulica długa boleśnie,
jak konającego westchnienie.
Przez szczyty dachów, by we śnie
przedzierają się ostatnie słońca promienie...
Ulica długa boleśnie,
a przy niej wszystkiego po trosze,
co życie ludzkie pomieścić zdoła:
sklepy z towarem za grosze,
otwarte wrota kościoła,
w którym człek z Bogiem mówić może
i przez jedno żalu westchnienie
wkroczyć w niebios przedproże...
Ulica przykra, jak bólu wspomnienie.
Przy niej kamienic obce mury, dachy.
Na balkonach jeno kwiaty.
Cóż to za powód błahy,
by wśród zieleni na raty
Odetchnąć urokiem dalekiego sioła!...
Ot, ulica urągliwa długa,
a w niej wszystko, co życie objąć zdoła,
a nad nią słońca suchotnicza smuga...
Pozatem — rzecz mało ważna — zbłąkany przechodzień..
Błogosławiony, kto się na kamieniu urodził...
Urodzić się, być może, jest błogosławieństwem,
umrzeć w tych murach ironji przekleństwem...
Palą się, jak u trumny, gromnice neonów,
a nad miastem, nad ciałem słychać dźwięk klaksonów
i jeszcze może bicie serca, co ciebie kochało.
Lecz już wóz pogrzebowy połknął twoje ciało,
już nekrolog wypluł kurjerek zielony...
Wiatr sensacji z innej powiał zaraz strony...
Zapomniany, pochowany,
łopatą przyklepany,
leż, spokojnie, przechodniu uliczny,
toć miałeś pogrzeb śliczny!
Kroczył za tobą orszak żałobników
Ulicą długą boleśnie;
było trochę płaczu, nieco krzyku,
było rzewnie, jak we śnie.
W kirach fałszywego smutku.
Ze słońcem w żałobie dymów fabrycznych,
zwiądłeś jak kwiat w zaniedbanym ogródku
— ot banał metaforyczny —
i powieźli cię ulicą długą boleśnie
na cmentarz, zwany zapomnieniem...
I postawią ci pomnik: milczenie...

Józef St. Czarnecki.

DON JOSE ST. NOARRO. 12)

ZDOBYWCA AFRYKI

POWIEŚĆ.

Wypada zaznaczyć, że w innych krajach europejskich sprawa emigracji do kolonij zamorskich jest już rozwiązana w sensie pozytywnym. Tak więc Anglia, która w walce z bezrobociem chwytała się eksperymentów, zbliżonych do bolszewickiej gospodarki, przemieszczając robotników z okręgów dotkniętych zastojem do okręgów pracujących, doszła do wniosku, że trzeba wziąć się do energiczniejszych kroków. Obecnie około 80.000 ludzi rocznie ma być przesiedlane do dominjów.

Przyjęcie ustawy i to jak najśpieszniejsze uważam za konieczne, ponieważ będzie to jednym z atutów naszych przed Ligą Narodów, która w najbliższym czasie ma rozpatrzyć wniosek o przyznaniu Polsce Kamerunu z tytułu odszkodowań wojennych.

Drugim zkolei mówcą był przedstawiciel klubu narodowego Radłowski.

— Projekt szeroko planowanej emigracji zamorskiej klub nasz musi przyjąć z zadowoleniem, ale i z pewną rezerwą. Tak wielkie zakomodowanie środków finansowych i moralnych dla okrzyczanej dziś już sprawy Kamerunu, w obecnej sytuacji ekonomicznej Polski musi wywołać poważną zwłokę w koniecznej akcji kolonizacji kresów wschodnich. (Pachnie wam Mohilów, Wielkie Łuki — głos z ław komunistycznych). Należyte i szybkie przeprowadzenie tej ostatniej związane jest z interesem naszej ekspansji narodowej, z koniecznością naszej dynamiki kulturalnej i potrzeby obrony państwa. (Wiwat nasi imperjaliści! — Marszałek dzwoni — wrzawa na ławach narodowych).

W chwili, gdy nasi sąsiedzi będą się rozrastać, nie możemy sobie pozwolić na ten luksus masowego eksportu ludzi. (Spekulacja na niskie płace. Nie uda wam się! — socjaliści trzaskają w pulpity). Odpowiednia gęstość zaludnienia polskiego — powiem krótko — zwłaszcza na peryferjach państwa, jest najlepszą gwarancją nienaruszalności granic i podstawą integralności państwa.

Skolonizujmy najpierw żywiołem polskim Podole, Wołyń, Białoruś; zmeljorujmy Polesie, a potem weźmy się do egzotycznych Kamerunów. Wogóle projekt uważamy w obecnem położeniu kraju nieco za przedwczesny.

Zkolei wszedł na trybunę przedstawiciel P. P. S. — nazwiskiem Turek.

— Kolonizacja Kamerunu, zgodnie z pomysłami komisji i jej inicjatora, jest nowym zamachem na prawa ludu pracującego. (Stara piosenka. Ktoś zaczął gwizdać „wlazł kotek na płotek"...). Minęły już czasy Kolombów, Kortezów, którym dla zdobycia nowych ziem wspaniałomyślni monarchowie dawali świtę ze zbrodniarzy i wyrzutków społeczeństwa. Polskiej burżuazji nie uda się — my nie pozwolimy — zaprząc naszego ludu pracującego do rydwanu zdobywców kameruńskiej Kolehidy. Cynizm tego projektu — gdyby był Bóg, wywołałby w niebie dreszcz zgrozy nad ludzką podłością. Posłuchajcie. Niedość, że rękami polskiego robotnika będą wytrzebione malaryczne puszcze Kongo afrykańskiego, ale jeszcze za to musi zapłacić jego towarzysz, przykuty do taczki kapitalistycznego wyzysku, tu w kraju. (Odebrać głos — na prawicy). Burżuazja nic nie ryzykuje, przeciwnie odkrywają się przed nią wspaniałe perspektywy niezasłużonych, ale zato przeobfitych zysków. (Goły Turek — marzy o złocie — kpiono w centrum). I któż ma wyłożyć na pokrycie kosztów tej imprezy. Oczywiście świat pracy. Pan referent był łaskaw z niewinnym gestem baranka wielkanocnego zaprojektować podwyższenie akcyzy, kogóż do dotknie — oczywiście klasę robotniczą. Panowie bankierzy i fabrykanci piją bowiem tylko zagraniczne wina i palą hawańskie cygara. Nie uważam za dobre, że alkoholizm szerzy się wśród warstw pracujących (Blagier! — wołano na ławach centrum), skoro jednak robotnik musi wódką zalewać robaka swej nędzy i poniżenia, świętym obowiązkiem społeczeństwa jest dostarczyć mu alkoholu możliwie po najtańszej cenie. Czyż dożyliśmy już do takiej hańby, że za pieniądze osiągnięte z monopolu spirytusowego mają się wykuć nowe kajdany ludu pracującego w Polsce. (Do Grand-Guignolu z nim! — Wrzawa, marszałek dzwoni). Wiemy przytem, jak się skończy ta epoka rozkwitu przemysłu w Polsce, co obiecuje nam pan referent. Fabrykanci wyzyskują to dla obniżenia zarobku. (Czy pan się już z nimi umówił?). Zatem precz z tym zakapturzonym projektem uszczęśliwienia człowieka pracy w Polsce, jest to nowy parawan dla podłych geszeftów burżuazji. (Brawa na lewicy, trzaskanie pulpitów na prawicy. — Ogólna wrzawa).

Czwarty przemówił przedstawiciel Ukraińców i Białorusinów.

— Trudno sobie wyobrazić bardziej niegodziwy w swem założeniu projekt nowego uciemiężenia narodu ukraińskiego i białoruskiego. Wystąpienie endeckiego posła Radłowskiego uważamy za obłudną manifestację. Rzeczywiście bowiem winien on być wdzięczny referentowi i komisji, że tak mistrzowsko wcieliła w życie ideę rozbójniczego szowinizmu endeckiego. Z potu i krwi murzynów kameruńskich (Krzyki: Milczeć! Przywołać do porządku) i postokroć od nich gorszej doli białych niewolników z Polski, ma się wydobyć fundusz gadzinowy na zniszczenie narodu ukraińskiego i białoruskiego na ziemi jego praojców. (Marszałek przywołuje po raz drugi do porządku). Dziękujemy za superfosfaty, dziękujemy za meljoracje Polesia, za dojne krowy i tłuste świnie z subsydjów rządowych, jeśli mlekiem ich i słoniną mają się karmić obce przybłędy z Wielkopolski, Mazowsza czy Galicji. Czyż doprawdy panowie wyobrażacie sobie, iż naród ukraiński pozwoli, by wygnano go z jego pieleszy, by piersi matek jego dzieci wyschły z nędzy i głodu dlatego, że endecja chce mieć nienaruszalną granicę z Rosją sowiecką? A ja wam mówię, że granica ta musi runąć, że rozpadnie się państwo polskie i Rosja sowiecka, by powstało wielkie, zjednoczone państwo ukraińskie (po raz trzeci przywołuję do porządku. Wykluczam z posiedzeń. Wrzawa. Gwizdy. Walenie w pulpity). Hańba wam, którzy pamiętacie ciężar i poniżenie trzech zaborów a macie sumienie kręcić ten hakatystyczny bicz na wielki naród ukraiński. (Posła wynoszą z sali).

Żarnicki wsłuchiwał się osłupiały w dziki wrzask opętanego manją prześladowczą posła, starając się opanować myśli, by zrozumieć dlaczego umysły tych ludzi nie mogły dostrzec zdrowego jądra jego idei. Czyż doprawdy jego projekt był aż tak dalece krwiożerczy, machiawelistyczny? Powstał przecież ze szlachetnej troski patrjotycznej, z głębokiego zrozumienia i przejęcia się losem ludu pracującego, którego jedyną dolą były przekleństwa, bezrobocie i głód; ludu rolnego, którego udziałem była tragikomiczna bezrolność.

Czyż nie znajdzie się w tym sejmie żaden człowiek szlachetny, światły, któryby zrozumiał i należycie ocenił pobudki Żarnickiego i epokową doniosłość jego inicjatywy? Ani jeden, wcale?... — to straszne.

Wśród cichnącej wrzawy gramolił się na trybunę poseł ludowy, po jego pucułowatej twarzy toczyły się krople potu, wyciśniętego z sadła, które obficie obrosło poselską dostojność.

— Pan referent ani pisnął, kto zacz ów humanitarny arystokrata, który sypnie miljardami na cele eksportu ludzkiej żywiny za ocean. Ale ja wiem i ku hańbie tej kanalji arystokratycznej, która się dotąd jeszcze w Polsce panoszy, rozgłoszę jego nazwisko. Jest to hr. Żarnicki, największy obszarnik — 15.000 ha.

Teraz rozumiecie, szanowni panowie, dlaczego ten siedmio-pałkowy cymbał arystokratyczny zachorował nagle na afrykańską gorączkę. (Rechot śmiechu runął przez galerję. Marszałek groził jej opróżnieniem). Ten panek wyobraża sobie, że jak się wyekspedjuje do Kamerunu bezrolnych chłopów, to już w Polsce nie trzeba reformy rolnej. A tej reformy rolnej boi się on niby muchy tse-tse; jakby go wycięła, to wszystkie jego morgi djabli biorą. (Głos: brawo Kiełbik, powinieneś być szczupakiem). A ja wam powiadam, że lud rolny polski jak ten wieloryb Jonasza, pochłonie magnaterję obszarniczą. Lecz historja już się nie powtórzy. Co ziemy, nie oddamy. (Nie udławcie się).

Precz z podstępnym projektem kolonizacji Kamerunu. Żądamy wywłaszczenia ziemi bez odszkodowania. Subsydjów rządowych na zagospodarowanie. Niech żyje chłop, żywiciel Polski!

W tym zgiełkliwym koncercie megalomanji i zaślepienia partyjnego nie mogło oczywiście zabraknąć głosu komunistycznego rezonera.

— Proletarjat polski — wołał — solidaryzując się z proletarjatem całego świata, patrzy z pobłażaniem na śmieszne wysiłki ratowania dzisiejszego ustroju przed koniecznością rewolucji światowej. Kameruńska kolonja jest pomysłem poliszynela, który nie zbawi burżuazji przed czekającym ją smutnym końcem. (Pogrzeb pierwszej klasy zamówiłeś pan? — głos z centrum).

Oczywiście z punktu widzenia dynamiki rewolucyjnej znaczna emigracja jest dla P. W. K. P. zjawiskiem wysoce niepożądanem. Lecz wszystko zapowiada się po temu, że ów Kamerun jest przedśmiertnem fatamorgana polskiej burżuazji, (głos: z bolszewickiej latarni magicznej). Zbyt przegniła ona w używaniu rozkoszy, zbyt porosła tłuszczem sybarytyzmu, aby mogła się zdobyć na czyn wymagający tak niezwykłej ofiarności. A ów hrabia — miljarder — wydaje nam się zręcznym trickiem reklamowym (Żarnickiemu zadrżało serce na myśl — a jeśli on ma rację), który, jak Lohengrin, zjawi się w drugim akcie, by w trzecim zniknąć.

Pieśń łabędzią możemy tu wam zaśpiewać. (W jakiej szkole stawiano pana głos, czy nie na Łubiance?).

Tak, panowie. Mieliśmy dziś wysoce zabawne posiedzenie. Burżuazja już w piątkę goni, skoro zajmuje nasz drogi czas lansowaniem takich podzwrotnikowych pomysłów. Panie ministrze handlu — a jak tam cło od przywozu. Radzę też dobrze obstawić port. Tylko patrzyć, jak zacznie się import węża morskiego. (Śmiech na galerji). Bawcie się, bawcie panowie, nawet nie wiecie, jaki śmieszny przedstawiacie widok. Aż przyjdzie chwila, że zatańczycie po raz ostatni nad grobem waszego głupstwa, a wasz łabędzi śpiew zgłuszy hymn międzynarodówki. Niech żyje rewolucja światowa.

Wśród akompanjamentu pulpitów grupa posłów komunistycznych zaczęła ryczeć międzynarodówkę.

W odpowiedzi odezwała się „Rota".

W wytworzonej kakafonji dźwięków, wśród wrzawy piekielnej i chaosu rozrzucanych papierów z akt — przez tylne drzwi uciekał cichaczem zdrowy rozsądek skulony, jak obity pies.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Żarnicki niby pijany szedł ulicą. Wstyd, rozpacz i wściekłość paliły mu na przemian twarz.

XIV.

„Kłócić się w sejmie, słuchać ustawicznego skrzeczenia istot bezrozumnych, powodowanych prywatą, znosić obelgi, ciskane pod osłoną patrjotyzmu, udawać przed pierwszym lepszym nie być nigdy sobą — jest to rzemiosło — zgoła niezgodne z moim charakterem".

Ks. Józef Poniatowski.

— Naprawdę obrzydliwe widowisko dał nam dziś sejm.

Żarnicki obejrzał się. Obok niego szedł Ligęza ze swym stałym sarkastycznym uśmiechem na ustach.

Podając rękę doktorowi, powiedział:

— Domyślam się pana nastrojów i dlatego prosto z mostu. Wydaje mi się, że dziś nadeszła chwila, by pana wprowadzić na płaszczyznę moich koncepcyj i przekonań w celu ich duchowego poślubienia. A więc do rzeczy. Co pan myśli o demokratyzmie?

Żarnicki chwilę myślał, zaskoczony impetycznością Ligęzy.

— Jest konieczny, lecz u nas w Polsce może jeszcze przedwczesny.

— Zasadniczo, panie, zasadniczo — zupełnie niedopuszczalny. Ludzkość — to w swej przeciętności cham. Gdy cham założy krawat samodzielności, to zazwyczaj jest to wisielcza pętla, którą się sam zadławi.

— Przyzna pan jednak, że ręka monarchy równie niebezpiecznie zaciska na szyi ludu pętlę przymusu.

— Tak, ale w tem jest metoda, świadomość, że człowiek zupełnie wolny być nie może. Wolność absolutna — to byt pozaspołeczny — rzecz nieosiągalna, niedopuszczalna. „Wolność" — takiego faktu niema wcale. Pojęcie to stanowi chorobliwą inwersję niewoli. Człowiek przywykł do niej, jak do ciasnego buta, dla którego wysmukłej linji poświęca się palec — lecz boso chodzić już się nie odważy, zadepczą go obute i podkute nogi innych niewolników. Podporządkowanie się niewoli społecznej to przejaw instynktu samozachowawczego.

— Lubię paradoksy, lecz ten mnie nie przekonywuje.

— Tak samo myślał Kiereński: Dajemy wolność ludowi, niech szeroko odetchną jego piersi. To będzie piękne i dobre. Niestety nadmiar swobody wywołał tylko ostry szał bolszewizmu.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LITERACI WILEŃSCY

Ku mojemu zadowoleniu mogłem wybrać się do Wilna. Nareszcie więc w „mieście pod chmurami” będę mógł poznać ciekawych ludzi.

Zastosowałem natychmiast staropolskie przysłowie „Swój do swego po swoje” i udałem się do „Celi Konrada” odwiedzić wileńskich literatów.

Literaci wileńscy mają za sobą chlubny dorobek regjonalny z zakresu literatury pięknej i krytyki, oraz w dziedzinie powieści. Pragnąłem wykorzystać szczęśliwy moment i zwróciłem się do każdego



Witold Hulewicz.
mal. L. Śledziński.



Kazimierz Leczycki.

z nich z zapytaniem: nad czem pracuje i co posiada gotowego na swoim warsztacie literackim. Zwracam się do wybitnego pedagoga, autora „Żywej szkoły”, popularnego prelegenta radjowego w zakresie współczesnego wychowania, p. **Jerzego Ostrowskiego**, cenionego dzisiaj powieściopisarza.

— Już słyszałem o pańskim przyjeździe — mówi do mnie uprzejmie autor „Kobuza”. Wilno każdego kulturalnego człowieka przyjmuje z otwartemi rękoma.

Uśmiechnąłem się.

— Będziemy p r a c o w a l i — dodał.

— Panie wizytatorze! — zacząłem. Zwracam się do pana nie jako podwładny do przełożonego, ale jako krytyk do powieściopisarza, bowiem znam dobrze pańskie powieści.

Przyjrzał mi się badawczo.

— Jakie? — zapytał nagle.

— „Chorągiew na dachu” — wymieniam niezbity stropu — „Obok życia”, „Sobieradek”, „Sztandar na maszcie”, „Ziemia św. Krzyża”, ostatnie: „Kobuz”, „Kathangara” i oczywiście „Żywą szkołę”.



Helena Romer-Ochenkowska.

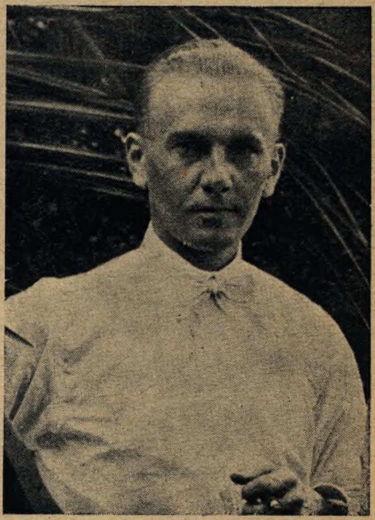
Egzamin wypadł pomyślnie, bo zainteresowany uśmiechnął się zadowolony. Trudno! Każdy literat lubi być cytowany.

— Nad czem pan teraz pracuje? — panie wizytatorze!

Odpowiedział krótko: „Po wydaniu ostatnich dwóch powieści „brazylijskich”, nie piszę nic nowego z dziedziny beletrystyki. Natomiast o p r a c o w u j ę rzecz z dziedziny pedagogicznej i socjalnej. To wszystko, co mogę panu o sobie zakomunikować”.

Pożegnaliśmy się.

Biegnę do Radja. Zameldo-



Jerzy Ostrowski.

wano mnie do dyrektora, **Witolda Hulewicza**, tłumacza i poety.

Wita mnie z radością, bo przecież się dobrze znamy.

— Pewnie chce pan coś powiedzieć przez mikrofon wileński? Chętnie służę panu — wyrecytował jednym tchem.

— Oczywiście! — odpowiadam zadowolony, ale wpierw niech mi pan powie, co pan przygotowuje do druku?

Zdziwił się.

Został zaskoczony, rumieniec zjawił się na jego policzkach. Zamyślił się.

— Niech cały świat czyta w „Świecie” o nowych przygotowaniach literackich autora „Miasta pod chmurami” — zacząłem dobrodusznie — aczkolwiek zna pana społeczeństwo z innych prac beletrystycznych, poetyckich, tłumaczeń i monografji o „Beethovenie”.

Poruszył się.



Tadeusz Łopalewski.

Zapaliliśmy papierosa.

— Ukończyłem — zaczął ociężale — przekład najważniejszego dzieła **Rainer Marji Rilkego,** nad którem pracowałem z przerwami od 8 lat: „Księga godzin" (Das Stundenbuch). Przygotowuję powoli tom pierwszy tego poety: nowele artykuły, listy. Tłumaczę **„Pentezyleję"** Henryka Kleista, tragedję wierszem w 4 aktach z czasów wojny trojańskiej, olbrzymi sukces Reinhardta z przed samej wojny, w Berlinie Przekład gotowy będzie za kilka tygodni. Zainteresował się nim teatr krakowski.

Kleist należy do autorów dotychczas w Polsce nieodkrytych, genjusz, rówieśnik Goethego, za życia wogóle nie znalazł uznania i odgrzebany został znacznie później z pyłów rękopiśmiennych, jak u nas Norwid. Tragiczne jego życie jest krótkie, ale piękne.

Z prac oryginalnych kończę zamówioną przez lwowską Książnicę-Atlas. Pozatem powoli piszę cę-Atlas. Pozatem powoli piszę książkę o Chopinie (niezupełnie w rodzaju pracy o Beethovenie) p. t. „Przybłęda Boży", która szybko została wyczerpana; praca ta potrwa jeszcze czas dłuższy.

Interesuje mnie również blisko twórczość Karola Szymanowskiego. Ostatnio napisałem studjum: „Karol Szymanowski jako pisarz", które po ostatecznem wykończeniu mam zamiar opublikować w jednym z tygodników stołecznych.

Pozatem, jak panu już wiadomo, jestem na stanowisku dyrektora programów Rozgłośni Radjowej w Wilnie, oraz prezesem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie, który od 5 zgórą lat rozwija systematyczną działalność w postaci akcji kredytowej i „Śród literackich" we własnym klubie przy Celi Konrada w murach pobazyljańskiego klasztoru.

— Świetnie! — rzekłem i wyszedłem.

Wielki miałem kłopot z odnalezieniem autora **„Sztuby", Kazimierza Łeczyckiego.**

Urzęduje w cukierniach wileńskich. Biegam, szukam, aż nareszcie znalazłem go u Rudnickiego.

Patrzę, siedzi przygarbiony człowieczek z rozłożonemi papierami i coś pisze.

Kelnerzy obstąpili go ze wszystkich stron Rękawy zielonej koszuli zwisły tak, że rąk nie było widać.

— Co pan pisze? Mistrzu?

— Poprawiam sztukę, która ma iść na scenę w grudniu r. b.

— Tytuł? — pytam.

— „Książę" — odpowiada, ale niewie jeszcze komu.

Podniósł głowę i witamy się po przyjacielsku.

— Niech pan mówi o sobie — rzekłem, bo nie mam czasu.

— **„Sztuba"** — mówi — została przetłumaczona przez red. Woytela Kosmana na język czeski. Wydaję ją w Wilnie nakładem własnym ponieważ nie mam wydawcy. Może pan pozwoli pół czarnej?



Wanda Dobaczewska.



Wiktor Piotrowicz.

— Owszem! — zgodziłem się.

— Sztuka **„Książę"** będzie grana w Wilnie, w Łodzi i w Poznaniu, a, o ile klapy nie zrobi, to też w jednym z teatrów warszawksich. Utwór czteroosobowy p. t. „Manekin zazdrosny" był już na scenie teatru p. Solskiej w Warszawie. Pracuję obecnie nad powieścią oraz sztukami dramatycznemi o tytułach jeszcze nie ustalonych, z których jedna będzie osnuta na tle życia akademickiego.

Wypiłem ofiarowaną czarną i pożegnałem oryginalnego i głośnego już dramaturga.

— Ja do pani z prośbą.

— Jestem **Helena Romer-Ochenkowska,** w czem panu mogę służyć?

— Co pani przygotowuje do druku? — pytam.

— Czy pan jest może wydawcą? — zagadnęła radośnie.

— Nie! Literatem.

Posmutniała autorka **„Tutejsi".**

— Nie umiem sprzedawać swych rzeczy, — mówi do mnie zgorzkniała, — ani mówić z wydawcami, zresztą w Wilnie ich niema, a do Warszawy nie mam pieniędzy, ale, niech pan wie, że Wilno jest niezaprzeczenie miejscem, które może dać natchnienie. Co wydałam to pan wie, a na biurku mam wiele rzeczy ukończonych, o których nigdy sama nie lubię mówić.

Pożegnaliśmy się po literacku.

P. Romer-Ochenkowska znana jest na Wileńszczyźnie ze sztuk dla dzieci, cieszą się one wielką popularnością, nawet niektóre zostały przetłumaczone na język łotewski. Odznaczona jest krzyżem „Polonia Restituta"; kilka lat temu Wilno godnie uczciło zasłużoną po-

Juljusz Wirski.

PANNA MŁODA

Nie w kwitnących ogrodach, nie pod kolją gwiazd-pereł,
Bez korony i bereł króluje panna młoda.

Wiosna dla niej, to druchna,
Zima bielą ją niańczy,
Jesień dla niej roztańczy
Liści tęczowe próchna.

Nie trzeba jej beryli, topazów, ametystów,
Wszakże rosą tchnie czystą, gdy warg wargom nachyli.

Nie ze złota korona —
Z jedwabnej włosów przędzy, —
Nią urzecze najprędzej
Słoneczna narzeczona.

SPOTKANIE

Niekiedy wprost na ulicy
Twarz mnie promienna oślepi,
Na małej stacji, na moście,
Lecz w cieniu drzew najlepiej.
Patrzymy sobie w oczy,
Spojrzeniem Twe serce badam: —
Ty jesteś rytmem pachnącym,
Gdy ja — pokłonem szpady.
Mijamy siebie zdaleka,
Męka nam serca rozchyla: —
Ty jesteś światem, — pogodą,
Ja wiatrem, falą i chwilą.
Łączymy dłonie samotne,
Choć wielka dzieli nas przestrzeń: —
Ty jesteś tęczą przymierza,
Gdy ja — sztandarem na wietrze...

POGOŃ

Lecieliśmy radosnym pociągiem, —
Padał deszcz, deszcz lipcowy, gorący!
Były wielkie, odświętne przeciągi,
Ten i ów był zmęczony i śpiący
Czarne niebo wisiało zmartwione,
Czarne niebo płakało nad nami;
A daleko, w radosnej rozmowie,
Złote słońce machało rękami!
Pociąg leciał, na boki się chylił...
Padał deszcz... W dali słońce krzyczało...
Myśmy słońce złociste gonili, —
Złote słońce złotą śmiechu strzałą!

---

wieściopisarkę regjonalną i działaczkę społeczną.

Spotykam **Zygmunta Łopalewskiego.**

— Pan do Wilna?

— Już w Wilnie! — odpowiedziałem — i dobrze, że spotkałem pana. Co pan pisze? — pytam odrazu.

— Ukończyłem nową rzecz dla sceny. Jest to trzyaktowa sztuka p. t. **„Czerwona limuzyna"**, w treści osnuta na podłożu psychologiczno-społecznem. Przedstawia konflikt bussinesu z miłością. Do dawniejszych prac, jeszcze nie ogłoszonych drukiem, należy powieść z życia powojennego naszej prowincji, tło psychologiczno-obyczajowe. Będzie drukowana w odcinku „Kurjera Warszawskiego".

Ponadto wydałem przekład utworów ludowej epoki rosyjskiej „Byliny", przekład dokonany wierszem, ma na celu zwrócić uwagę na monumentalne piękno eposu dawnej Rusi.

Na warsztacie — cykl nowel z życia małej osady przemysłowej w byłej Kongresówce, w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Oto wszystko.

Udałem się następnie do **Wandy Dobaczewskiej.** Żona lekarza, ale zdolna poetka, przyjmuje mnie w saloniku bardzo gościnnie

— Co pani drukuje? — pytam.

Autorka **„Naszej doli"** odpowiada zwięźle:

— Obecnie pracuję nad drugą powieścią, której treścią będzie życie organizacyjne i społeczne ludności kresowej w latach ostatnich.

Udało mi się po ciężkich trudach uzyskać audiencję u pana radcy wojewódzkiego, **Wiktora Piotrowicza,** krytyka literackiego, autora „Współcześni poeci wileńscy" i redaktora „Źródeł mocy", czasopisma regjonalnego.

— Pan do mnie? — zapytał służbowo, mrugając oczyma dla dodania sobie powagi.

— Co pan pisze? — przeciąłem jak brzytwą poważny nastrój.

Zdumiał się, widocznie nikt ze śmiertelników do niego w ten sposób nie mówił.

— Co pan pisze? — powtórzyłem tym samym tonem.

— W chwili obecnej — zaczął pokonany radca, ale poważny krytyk literacki i publicysta — pracuję nad tomem szkiców wyznaniowych, dotyczących Unji i dyzunji w Polsce, książka ta niebawem ukaże się w druku. Z prac literackich przygotowałem monografję o **„Towarzystwie szubrawców"** i „Wiadomościach brukowych". Zobrazuje ona rozkwit kultury oświecenia w Wilnie w pierwszej ćwierci 19-go wieku.

Pożegnałem go.

W Wilnie są młodsi literaci naukowcy, do których zaliczyć wypada **dra. W. Charkiewicza,** autora poważnych rozpraw o Placydzie Jankowskim, o Zmierzchu Unji, oraz ostatnio o Dziejach unji kościelnej (w druku). **Dr. Arcimowicz,** autor przyczynków o Norwidzie i rozprawki o Marcinkowskim, przygotował obszerną monografję do druku o Norwidzie. **Zygmunt Falkowski,** znany z prac o Kleopatrze Norwida, i o Reymoncie, złożył dużą pracę jednemu z wydawnictw warszawskich o Sienkiewiczu.

Powstają z dnia na dzień talenciki poetyckie w Wilnie, których duszą jest słynny na Wileńszczyźnie demokrata **Dembiński,** wyszkolił on już spory zastęp poetów, a do nich zaliczymy **Bujnickiego i Wykomirskiego.**

Niemniej jednak ożywiony jest ruch artystyczny w Wilnie. Malarstwo pod pieczołowitą opieką **Ludomira Slendzińskiego** rozwija się znakomicie. Teatry studja filharmoniczne i muzyczne wydały wielu zdolnych muzyków i śpiewaków. Znani są **prof. Józefowicz,** śpiewaczka **Kowianka-Reiss, Węcławski** i t. d.

W niedługim czasie powstanie oddział Opery Narodowej warszawskiego TONU, który zapowiedział cały szereg atrakcyj ściśle narodowych.

Paweł Krzowski.

ST. RADOST.

KOLCZYKI

(NOWELA).

Maud mogła być szczęśliwa. Oczywiście, jeśli za miarę szczęścia wziąć piękną, sześćdziesięciokonną limuzynę, niezliczoną ilość sukien sprowadzanych extra z Paryża, pobłażliwego i rozkochanego w swej jedynaczce ojca który bez zmrużenia oka podpisywał najbardziej wygórowane rachunki, apartament w New Yorku i willę na Florydzie — w takim razie Maud była szczęśliwą. Jej pozycja w najwyższej sferze była ustalona, począwszy od pierwszego jej balu, który wydał jej ojciec na wprowadzenie w świat. Od tej chwili została zaliczona do najpoważniejszych partyj pod gwieździstym sztandarem i wszędzie tam, gdzie pada jego cień.

Na swoje nieszczęście Maud miała subtelne serce i rychło przesyciła się chwałą tego świata, hołdami i uwielbieniami, rosnącemi w miarę podwyższania się rachunków bankowych jej ojca, któremu w interesach świeciła dobra gwiazda W zbyt wyraźnym związku były te rzeczy, by w krytycznym umyśle Maud nie wywołać właściwego wrażenia.

— Papo, pieniądz to obrzydliwa rzecz.

— Dlaczego? — zdumiał się stary John, który wśród nawału interesów nie zdołał dotąd zauważyć, że córka jego nie należy do tego hasającego po Ameryce stada plutokratycznej młodzieży, używającej życia bez sensu, ale i bez skrupułów. — Dlaczego? — powtórzył jeszcze raz. Czyś ty wypadkiem nie chora? — zaniepokoił się szczerze, patrząc na jej posmutniałą twarzyczkę.

— Ależ nie, papo. Tylko, widzisz, nikt mnie nie kocha dla mnie samej, nikt mnie nie chciałby nawet znać, gdyby nie twoje miljony.

— Bardzo dobrze. Tak być powinno. Pieniądz jest potęgą. I ten szczęśliwy, kto może ją sobie podesłać pod stopy.

— Być może, papo, masz rację, odnosząc to do siebie. Ty umiesz zdobywać pieniądze. Korząc się przed twemi miljonami, korzą się ludzie przed potęgą twego genjusza finansowego Ale cóż ja. Urodziłam się, jak mówisz, w złoconej kolebce, jadłam zawsze srebrną łyżką i czuję się tylko dodatkiem do tych wszystkich bogactw. Nikt mi nie mówi, jakaś ty piękna tylko jaką wspaniałą masz tualetę, doskonale na tobie wygląda. Tak to brzmi, jakbym była manekinem do obnoszenia kosztownych fatałaszków, albo lalką reklamową do wypełnienia miejsca w mej limuzynie, żeby nie jechała pusta. Czuję się tylko zerem, dodanem do miljonów, kartką, na której wypisano wysoką sumę i którą przedstawi się do wypłaty po załatwieniu formalności ślubnych.

— Co ty wygadujesz, dziecko? — obruszył się John. Przecież chyba nie masz nic do zarzucenia swemu narzeczonemu. Solidny młody człowiek, który świetnie zna się na interesach. Już dziś liczą się z nim na giełdzie.

— A gdy zainkasuje mój posag, zostanie królem Wellstreet. Będze zabawiał się urządzaniem gry na zwyżkę czy zniżkę i wśród niej powoli, a może i dość prędko zapomni o mnie.

— Moja droga. Każdy musi pracować na tem stanowisku, na którem go Bóg postawił. A Ewangelja zaleca pamiętać o mamonie niesprawiedliwości.

— Poco tatuś miesza do tych brudnych giełdziarskich interesów Pana Boga i Ewangelję — z grymasem przykrości rzuca Maud.

— Wszystko jest przewidziane przez Najwyższego.

— Czy także sztucznie wywoływane krachy i paniki, na których zarabiają miljony rekiny finansów?

— Wszystko. Zło i dobro, by człowiek mógł wybierać, aby się okazało w pełni, że ma wolną wolę.

— Dobrze, zgoda na to, papo. I ja też postanowiłam wybrać i pójść za dobrem. I to zaraz, natychmiast. Dziś wyjeżdżam.

— Wyjeżdżasz. I poco, jeśli wolno zapytać? Przecież i tu możesz szukać swego dobra.

— Opuścisz ojca i matkę — napisane jest tak przecież.

— Napisane, ale nie wszystko co napisane wprowadza się w czyn.

— Otóż to. Nie znoszę obłudy. Mam jej potąd — zrobiła wymowny ruch ręką dokoła szyi.

— A więc zostawisz mię samego, bez żalu? — stary John rozczulił się na myśl o rozstaniu z córką Kochał ją po swojemu i brak jej groził powiększeniem pustki jego życia.

— Ależ papo, nie opuszczam cię na zawsze. Chcę poprostu spróbować własnej drogi, poznać ludzi i świat i zobaczyć, czy doprawdy wszystkie drogi prowadzą na Wellstreet.

— Ano trudno, jedź, nie będę cię wstrzymywał — odparł oschle stary, urażony trochę.

Ale Maud wlot uchwyciła sytuację i, opasując szyję jego ramieniem, zasypała pocałunkami. Pod ich wpływem stopniała niechęć Johna. Poddając się pieszczotom córki, zaczął się zastanawiać nad całą tą niezwykłą rozmową. Nagle uśmiechnął się szelmowsko i, odwzajemniwszy jej uściski, rzekł:

— Ha trudno, zgadzam się i udzielam ci mego błogosławieństwa, a na wypadek, gdyby to nie wystarczyło jak zawsze, możesz liczyć na mą pomoc.

— Papa ze mnie żartuje.

— Bynajmniej, tylko, widzisz jestem już stary i mam na tyle doświadczenia, żeby wiedzieć, że głową muru nie przebijesz.

— Spróbuję.

Rozstali się. Wieczorem Maud wsiadła do swej limuzyny W skromnym, choć z doskonałej wełny kostjumie, robiła wrażenie jednej z wielu tysięcy dziewcząt, które wypełniają New York, pracują w jego magazynach i biurach. Choć postanowiła zacząć życie zupełnie nowe, nie mogła sobie jednak odmówić przejechania się po raz ostatni swem autem. Jadąc tak w kierunku dworca, odczuła może po raz pierwszy cały smak przywilejów jakie daje pieniądz, a których zdecydowała się wyrzec. Cały jej pomysł wydał się trochę zwarjowany. Bo i czego właściwie jedzie szukać po świecie? — Człowieka, któryby nie korzył się przed pieniądzem Mrzonka. Czy jest, czy znajdzie się ktoś, kto zechce się nią zainteresować dla niej samej.

A swoją drogą jej auto doskonale niesie. I życie, które dotąd prowadziła, miało przecież dużo powabów i uroku. Te bale, w których mieszały się wszystkie czary zmy-

słowych uciech, te rozkoszne tygodnie, spędzane na wycieczkach w góry lub nad morzem w jednem ze wspaniałych kąpielisk miljonerów. Nieomal żałowała już swej decyzji. Kiedy jednak przypomniała sobie całą bezmyślność tego istnienia, całą nudę, jaka wiała od jej narzeczonego, nie umiejącego poza kręgiem swych interesów pijatyką i sportami niczem poważniejszem się zająć — uznała, że wszystko jest dobrze, i że nic innego nie mogła zrobić.

Kazała zatrzymać auto na paręset metrów od dworca, aby wkroczyć już w jego progi jako jedna z miljona ubogich obywateli New Yorku, których stać najwyżej na unterway i lichy obiad w grillroomie. Gdzie właściwie ma pojechać? Do Chicago? Wielkie miasto otwierało jej wszystkie szanse. Ostatecznie mogła zostać i w New Yorku. W tem mrowisku tak łatwo było się zagubić. Nie chciała się jednak narażać na przypadkowe choćby spotkanie ze znajomymi, którzy mogli niespodzianie pokrzyżować jej plany „przebijania się" przez życie. Wykupiła bilet trzeciej klasy i zajęła miejsce w przedziale. Zastała tu jakąś schludnie choć ubogo ubraną kobietę z małym chłopczykiem, który z natarczywą ciekawością zapytywał matkę o wszystko dokoła. Dzieciak miał piękne, wyraziste oczy i główkę w kędziorach.

Ubawiła ją szczerze jego ruchliwość i wdzięk z jakim wścibiał swój nosek we wszystko.

— Czy to w lokomotywie lew tak ryczy? — dopytywał się malec wkońcu.

— Nie, moje dziecko — tłumaczyła mu łagodnie matka. To para wodna.

— Więc w takim razie lew ryczy dzięki tej parze wodnej.

— Nie.

— Jakto więc jest — niedawał za wygraną chłopczyk.

— Siedziałbyś cicho — zgromiła go wkońcu matka. Cóż to za utrapienie z temi dziećmi — zwróciła się odruchowo do Maud, wzywając ją jakby na świadka swych macierzyńskich kłopotów.

— Pani pozwoli. że mu to wyjaśnię. Przywołując na pamięć cały zapas swych wiadomości fizycznych i przyrodniczych, objaśniła w prostych słowach ową niepokojącą różnicę między lwem i lokomotywą. Chłopiec odrazu nabrał do niej zaufania, wsparł się jej na kolanach i słuchał. Podobała mu się ta pani o wspaniałych jasnych jak len włosach, o niebieskich oczach, w których wyrażała się tkliwość i wesołość.

— Pani wygląda jak lalka z magazynu — oświadczył z całą powagą.

— Brawo chłopcze, brawo — zawołał wesoło młody człowiek, który od paru chwil zajmował miejsce w kąciku przedziału, pilnie stamtąd obserwując Maud.

Dziewczyna spiorunowała go spojrzeniem, w którem mógł wyczytać potępienie dla swej śmiałości, przemieszanem jednak z odrobiną zaciekawienia. Młodzieniec był przedstawicielem tężyzny, zdrowia a przytem inteligencji, o której świadczył piękny zarys czoła i bystre, otwarte spojrzenie oczu. Wywarł na niej korzystne wrażenie.

— Nie wygaduj głupstw — zgromiła chłopca matka.

— Ależ tak. mamusiu — upierał się malec. Patrz, ma nawet takie same kolczyki, jak w tym magazynie na 24 Ave.

Maud mimowoli sięgnęła do uszu. Istotnie w pośpiechu zapomniała wyjąć cenne kolczyki. Już one same demaskowały ją w tem gronie. Ach, co za niezręczność.

Chłopczyk tymczasem już wyciągnął do niej rączki i prosił:

— Proszę mi dać tę błyskotkę. chcę się pobawić. Z czego się robi kolczyki? — rzucił nowe pytanie świadczące o jego niezaspokojonej nigdy ciekawości. Maud struchlała. Co tu odpowiedzieć dzieciakowi? Przecież nie mogła w tem towarzystwie przyznać się do posiadania jednego z najpiękniejszych i najdroższych cacek jubilerskich. Aż ugięła się pod ironicznem spojrzeniem młodzieńca, który z pod oka obserwował całą scenę. Na ustach igrał mu kpiący półuśmiech.

— Nie męcz pani, już dosyć — strofuje matka chłopczyka.

— Ale ja proszę, ja chcę zobaczyć.

Maud zrezygnowana odpina kolczyk z ucha i podaje dziecku, przekonana wewnętrznie, że to wszystko dobrze się nie skończy. Ten młody człowiek w kącie wygląda podejrzanie. Ostatecznie dzieciak może niechcący kolczyk zatracić.

— I drugi — napiera się dzieciak.

Maud, pod elektryzującem spojrzeniem młodego człowieka odpina jak automat drugi kolczyk. To chyba szajka złodziei kolejowych — błyska jej w głowie nagłe przypuszczenie. Dzieciak tymczasem kładzie swą podwójną zdobycz na maleńkiej dłoni i z miną nieomal znawcy zaczyna się przyglądać.

— Ładnie błyszczy — stwierdza zadowolony. — Prawda, proszę pana, zwraca się do młodego człowieka dumny ze swej zdobyczy. Podchodzi doń i podaje mu cenne błyskotki. — Wszystko wedle programu — myśli sobie Maud. Mogę się pożegnać ze swemi kolczykami. Młody człowiek bierze z całą powagą cacka i kłaniając się, powiada:

— Pani pozwoli.

Maud bezradna myśli sobie: — Niechbym nie pozwoliła, ładniebym na tem wyszła. Nieomal z płaczliwym grymasem odpowiada:

— Yes.

— Posłuchaj chłopcze powiem ci coś niecoś o kolczykach. Takie kolczyki, jeśli są prawdziwe, kosztują kilkadziesiąt tysięcy dolarów, czyli bardzo dużo pieniędzy, za które możnaby zrobić wiele dobrego. Nic dziwnego, brylanty są bardzo trudne do zdobycia. Trzeba przepłukać gdzieś w południowej Afryce kilka ton piasku, pracując wśród palącego słońca, aby wydobyć parę takich kamyków. Potem szlifuje je się w Amsterdamie, skąd je zakupują jubilerzy i, oprawiwszy pięknie w złoto lub platynę, sprzedają z potrójnym zyskiem żonom i córkom miljarderów dla zaspokojenia ich próżności i chęci błyszczenia.

Maud omal nie krzyknęła z oburzenia na te słowa, w porę jednak powstrzymała tę niewczesną manifestację, która mogłaby ją zdradzić.

... — a dziewczęta z uboższych warstw naśladują je i kupują nieraz za ostatnie grosze takie oto szklane błyskotki, potrząsł gniewnie kolczykami, aby przynęcić ku sobie mężczyzn, którzy, tak jak ty, chłopcze, lubią na to patrzeć i nie umieją się powstrzymać od zdrożnych chęci. — Mówiąc to młody człowiek wpadł w zapał, który zaróżowił mu policzki podnieceniem.

— Czy nie uważa pan, że jest pan źle wychowany? — zdecydowała się nagle odezwać, rozgniewana na dobre jego słowami.

— Dlaczego? Czy dlatego, że mówię prawdę?

— Są prawdy. które trzeba umieć powiedzieć.

— Nie moja wina, że prawda, jak róża, ma kolce.

— Trzeba więc ją tak zręcznie przedstawić, by nie ukłóć nikogo.

— Proszę pana, proszę pana — zaczął wołać nasz malec, niezadowolony z tej przerwy, — jak pan myśli, czy te kolczyki można wyrzucić za okno? skoro są takie niebezpieczne, należy ich się pozbyć. I niewiele myśląc, podskoczył do okna, by wykonać swój zamiar.

— Trzymaj go pan, trzymaj — zawołała spazmatycznie Maud. Co pan narobił najlepszego?

— Stój, chłopcze, daj spokój. Zwracam pani te klejnociki, jakkolwiek uważam, że w niczem już nie są w stanie podnieść pani urody.

Maud odetchnęła z ulgą. Więc chyba ten młodzieniec nie jest bandytą, skoro zdecydował się je zwrócić.

— Pan jest doprawdy zbyt łaskaw. Bardzo dziękuję

— Niema za co. Wprowadzam tylko w czyn pani wskazanie i najpierw ofiarowuję pani zapach róży.

— A potem kolce.

— Tak. Dziwię się mianowicie, że przywiązuje pani wagę do takich fałszywych błyskotek.

— Pan jest doprawdy zabawny. Więc uważa pan, że mię nie stać na prawdziwe?

— Właścicielki prawdziwych nie jeżdżą trzecią klasą.

— Nie zauważyłam tego, tak mi tu przyjemnie upływa czas, jak w salonie.

Roześmiali się oboje.

— Zaczynam nabierać do pana przekonania — ciągnęła dalej Maud.

— Doprawdy. I ja wzajemnie pozwolę sobie zauważyć, że godna jest pani nosić prawdziwe klejnoty.

— Nabiera pan przekonania do błyskotek. Przestaje pan być tak surowym purytaninem.

— Dochodzę do wniosku, że należy czasami zrobić wyjątek.

— Za kogóż mię pan bierze.

— Za podróżującą incognito miljonerkę tak jak pani mię wzięła za bandytę.

— Skąd pan o tem wie?

— Z pani minki, z pani przerażonych oczu, kiedy klejnociki dostały się mych rąk. Na szczęście, my bandyci, znamy się na biżuterji. Znów opanował ich śmiech Śmiali się wesoło tak, jak tylko umie śmiać się beztroska młodość.

— Zwierzę panu wielką tajemnicę. — Jestem miljonerką, która poszukuje skromnej posady, choćby za dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo.

— Posady? Co pani mówi? Nie mogła pani trafić lepiej. Całe swoje życie zajmowałem się udzielaniem posad zbankrutowanym miljonerkom.

— O, to widzę, pan ma dużo doświadczenia.

— Troszeczkę. Proponuję więc pani miejsce sekretarki w zakładzie opieki nad dzieckiem, na który mam pewien wpływ.

— Może jest pan jego fundatorem?

— Nie, tylko jego dystrybutorem. Dostarczam mleko dla niemowląt.

— Jaki pan szlachetny. — Oczy Maud pełne były iskierek wesołości. — Widzę do tego, że ma pan wybitne zdolności pedagogiczne.

— Troszeczkę.

Tak sobie gawędząc, ani się obejrzeli, jak dojechali do Chicago.

Po jakimś miesiącu w pałacu starego Johna Cooldinga zjawiło się dwoje młodych ludzi, którzy kazali się zameldować jako państwo Barrington.

Stary John trochę niechętnie zdecydował się na ich przyjęcie. Nie mógł sobie narazie uświadomić czy zna tych Barringtonów.

Kiedy młodzi stanęli w progu salonu, ledwie podniósł ku nim wzrok. Nagle rozbłysły mu oczy.

— Maud to ty? Nareszcie jesteś.

— Papo, kochany.

Ściskali się i całowali dłuższą chwilę. A któż to jest ten pan — rzucił po chwili John z całą powagą.

— Mój mąż.

— Mąż? Co ty mówisz — zdumiewał się John dalej jakgdyby nigdy nic.

— Tak. Przedstawiciel znanej w Chicago firmy — Barrington et Co. Poznałam go w podróży, zrobił na mnie duże wrażenie swemi zasadami. Okazało się, że szukał sekretarki, to jest żony, którаby nietyle ceniła jego pieniądze, ile jego samego — odpowiada wesoło Maud.

— To prawie tak, jak ty.

— I wziął mię za ubogą panienkę. Prawda Harry. Zabawna historja była z memi klejnotami. Ja myślałam, że on jest złodziejem i że chce mi je ukraść. On uważał, że moje brylanty są zwykłemi szkiełkami.

— O przepraszam cię bardzo. Nie myślałem tego — wpadł nagle w rozmowę Harry. Na brylantach znam się wcale nieźle. Zrozumiałem jednak, że zależy ci na tem, aby się nikt nie domyślił kim właściwie jesteś. Dostroiłem się do tej niewinnej komedji.

— Ach ty oszuście. I dlaczego to zrobiłeś?

— Bo naprawdę mi się podobałaś. Pokochałem cię odrazu i zdecydowałem się na ciebie z kolczykami czy bez — mniejsza z tem — śmiał się przekornie.

— Poco mi to mówisz. Zabrałeś mi złudzenie.

— Sumienie nie pozwala mi łudzić ciebie.

— Dałeś tego dowód, młodzieńcze — rzecze stary John i uścisnął mocno prawicę Harryego.

Prosimy o wpłacanie prenumeraty za I-szy kwartał



Na ślizgawce.

NA FALACH CZASU

Opinja katolicka świata ma ostatnio szereg etmocyj. Jedną z jej przyczyn jest niewątpliwie wynik wyborów w Hiszpanji. Przyniosły one dzięki 60 procentowemu udziałowi kobiet zwycięstwo co do ilości mandatów kierunkom prawicowym i umiarkowanym. Nie przeszkodziło to zresztą w niczem wybuchowi w parę dni potem rewolty, znaczącej się dziesiątkami trupów, setkami rannych i dymami płonących kościołów. Okazuje się, że można zwyciężyć „babskiemi" głosami w wyborach, ale nie tak łatwo zabepieczyć się przed rewolucją. I to właśnie myślącą elitę katolicką skłania do refleksji.

Inna kwestja, to sprawa reform w Austrji. Zaczęło się to najpierw od wycofania kleru przez episkopat z bezpośredniej akcji partyjno-politycznej. Obok tego idą dalekosiężne plany reformatorskie kanclerza Dollfussa, oparte o „Quadragesimo anno", które, o dziwo, właśnie dlatego budzą entuzjazm socjalistów. Czy szczery? To jest pytanie, nad którem opinja katolicka musi się zastanowić. Bo przecież takie przemiany, nie mogą odbywać się z dnia na dzień, jeśli mają przetrwać dłużej niż jeden sezon polityczny czy okres strachu przed Hitlerem.

Są jednak w Austrji inne zjawiska, bardziej pocieszające.

W tych dniach na miesięcznem zebraniu wiedeńskiego związku księży prefektów przemawiał minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, dr. Schuschnigg. W swem przemówieniu poruszył on wiele ciekawych spraw wychowawczych, mających związek z praktykami religijnemi. Następnie wskazał na niezwykle interesujący fakt, że do ministerstwa napływają stosy podań rodziców bezwyznaniowych, którzy usilnie proszą o to, by ich dzieci zostały dopuszczone do nauki religiji. Według bowiem dawniejszych przepisów trybunału konstytucyjnego, takie dzieci nie mogły uczyć się religji w szkole. Obecny jednak rząd austrjacki wydał nowe zarządzenie, zezwalające na udzielanie nauki religji dzieciom rodziców bezwyznaniowych, a to na podstawie życzeń rodziców lub opiekunów.

W dalszym ciągu minister mówił o zastosowaniu przez rząd surowych środków przeciwko propagandzie bezwstydu, które do pewnego stopnia powstrzymały to zło. Do całkowitego jednak jego usunięcia potrzebna jest jeszcze współpraca ze strony ludności.

Temi zarządzeniami rząd wyświadczył wielką przysługę nietylko dzieciom i Kościołowi, ale także krajowi, który według najgłębszego przekonania ministra w doli i niedoli nierozerwalnie jest związany z religją katolicką po wszystkie czasy.

Katolicka Austrja nietylko się broni przed pogańskim hitleryzmem, ale nadto za pomocą pięknych praktyk religijnych wzmacnia na duchu swoich obywateli. Dowodem tego są „jubileuszowe Komunje św.".

Już od kilku lat corocznie w jednym z wiedeńskich kościołów odbywa się wzruszająca uroczystość udzielania jubileuszowej Komunji św., tym wszystkim, którzy pragną we wspomnieniach swych odnowić chwilę pierwszej Komunji św., przyjętej przed 15, 20, 25, 50 lub więcej laty.

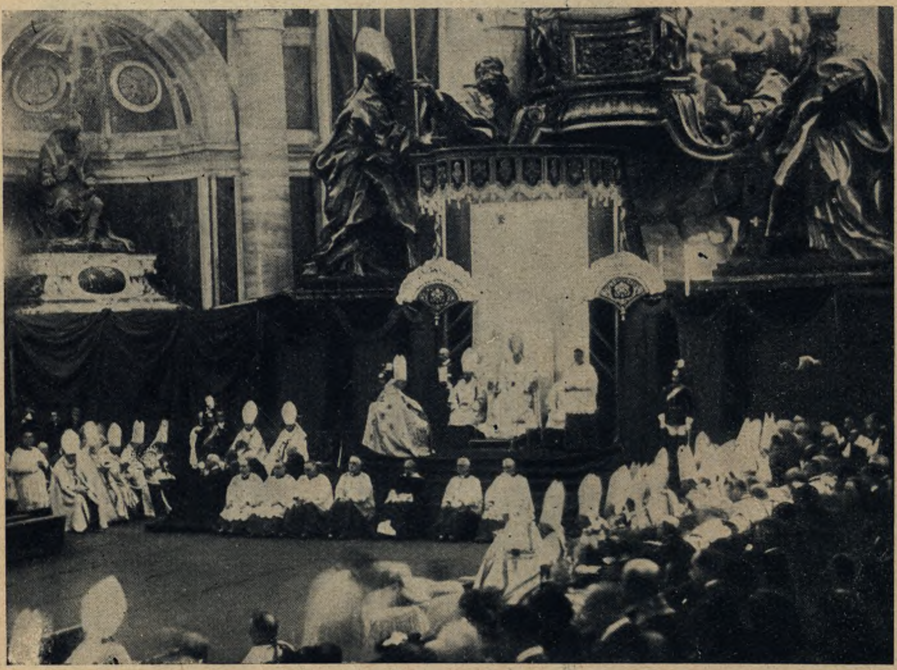
Podobna uroczystość odbyła się też i w roku bieżącym w ostatnią niedzielę listopada. Naprawdę wzruszającą była chwila, gdy podczas Mszy św., odprawionej przez kardynała Innitzera, przystąpiło do Stołu Pańskiego parę tysięcy jubilatów. Byli to ludzie i w sile wieku i zgrzybiali starcy, każdy z zapaloną świecą w ręku.

Jest to naprawdę wzruszająca ceremonja, którąby warto i u nas zaprowadzić.

Rozwiązywanie lóż wolnomularskich w Niemczech, co jest zasługą Hitlera, pobudziło międzynarodową masonerję do tem żywszej działalności. Po rozwiązaniu „Symbolicznej Wielkiej Loży Niemiec", której siedzibą był Lipsk, akcja wolnomularzy niemieckich skoncentrowała się w dwu lożach w Jerozolimie i w jednej w zagłębiu Saary. Kierownictwo „Symbolicznej Wielkiej Loży na Wygnaniu" — taką nazwę przyjęła obecnie organizacja masonów niemieckich — objął niejaki dr. Propper w Jerozolimie.

Dowody wzmożonej działalności w ostatnich czasach również „Międzynarodowa Liga Wolnomularska" z siedzibą w Wiedniu. Po wielomiesięcznej przerwie ukazał się obecnie nowy numer masońskiego czasopisma (Wiener Freimaurerzeitung). Zawiera on sprawozdanie z tegorocznego kongresu masońskiego w Hadze. Kongres obradował pod opieką holenderskiej grupy masońskiej. Z powodu kryzysu gospodarczego był on dość słaby liczebnie. Autor sprawozdania stwierdza, że straty poniesione przez zamknięcie lóż niemieckich, naprawione zostały przez założenie nowych organizacyj masońskich w Indjach holenderskich, Brazylji i Meksyku. Na kongresie wygłoszono dwa referaty: „Istota i znaczenie tajemnicy masońskiej" oraz „Wierność a masonerja". Jest rzeczą godną uwagi, że sekcja młodzieży wolnomularskiej nie była na tym kongresie reprezentowana.

Zdawałoby się, że hitlerowskie Niemcy po zawarciu konkordatu ze Stolicą Świętą, będą szanowali religję i duchowieństwo katolickie. Życie jednak wykazuje co innego.



Uroczystości kanonizacyjne Bernadety Soubirous z Lourdes.



Visus (widok) jeden z obrazów zdobiących trumnę króla Zygmunta Augusta, z r. 1572, w którym Anna Jagiellonka scharakteryzowała, złośliwie, przymioty swego brata.

To też ks. dr. Waitz, biskup katolickiej Austrji, w przemówieniu na kongresie katolickim w Dorbirn mocno skrytykował narodowy socjalizm, wskazując na jego dążności przeciwkatolickie i pogańskie.

Połączenie przeto Austrji z Niemcami, mówił ks. biskup, groziłoby Austrji temi samemi niebezpieczeństwami, które dziś zagrażają Niemcom, a więc oderwaniem od Kościoła, od Chrystusa a ostatecznie i od Boga.

W dalszym ciągu swej mowy ks. biskup mówił o tem, że w Bawarji hitlerowcy aresztowali 140 księży, a w Palatynacie zmusili pewnego księdza do chodzenia po ulicy boso z zawieszonemi na piersiach i na plecach plakatami, które miały bluźniercze napisy. Prawdą też jest, że chcieli aresztować w Monachjum kardynała Faulhabera, którego na szczęście obronił generał von Epp.

Te kilka przykładów dostatecznie stwierdzają, jak hitlerowskie Niemcy lekceważą sobie konkordat ze Stolicą Świętą.

Dzięki ofiarom zebranym w czasie tak zwanego „dnia prasy katolickiej", dziennik katolicki w Medjolanie „Italia" mógł nabyć własny dom i dwie nowe maszyny drukarskie oraz przeprowadzić szereg poważnych ulepszeń. Zbiórka mimo kryzysu przyniosła znaczną sumę pieniędzy.

Państwo sowieckie ma obecnie w polityce zagranicznej dobrą passę. Jest to do zawdzięczenia Hitlerowi, który, dokończywszy dzieła rozbicia Ligi Narodów, postawił mocarstwa wobec konieczności powrotu do dawnego systemu sojuszów. No i zaczął się nadobre taniec dyplomatyczny, obejmujący wszystkie kontynenty świata. Najruchliwszą jest bodaj dyplomacja sowiecka i jej „szczęśliwy" przedstawiciel Litwinow. Zapisuje on na swym rachunku życiowym sukces za sukcesem. To Londyn, to Paryż, ostatnio Waszyngton i Rzym. Zawarcie umowy ze Stanami Zjednoczonemi jest niewątpliwie wielkim sukcesem Litwinowa i Sowietów. Będzie to miało duże znaczenie praktyczne: polityczne, militarne i gospodarcze.

Konfiguracja sił na dalekim wschodzie jest tego rodzaju, że wojna wisi w powietrzu. Japonja idzie wielkiemi krokami do stworzenia wielkiego imperjum azjatyckiego i oczywiście musi przez to wywołać niezadowolenie Anglji, „U. S. A." i Sowietów.

Litwinow nie obwija zresztą prawdy w bawełnę. W wielkiej mowie, transmitowanej z Waszyngtonu, powiedział:

Wojna światowa nie była bynajmniej ostatnią wojną, a konferencja rozbrojeniowa jest trupem, którego już nic do życia zbudzić nie zdoła. Dotychczas jednak jeszcze nie wystawiono jej świadectwa zgonu, ponieważ lekarze obawiają się zbadać jej serce, które już bić przestało. Porozumienie sowiecko-amerykańskie jest najlepszą gwarancją pokoju — zakończył istotnie „dyplomatycznie". Najwyraźniej podobało się to Mussoliniemu, który zaprosił Litwinowa do Rzymu. O czem będą mówić? Dyskretna plotka, podaje, że Mussolini zamierza przedstawić plan przekształcenia obecnej Ligi Narodów (ach ten pakt 4-ch!) Zreorganizowana według Mussoliniego Liga Narodów nie byłaby oparta o Traktat Wersalski i w ten sposób byłby możliwy powrót do Ligi Niemiec i Japonji, oraz wstąpienie związku sowieckiego i Stanów Zjednoczonych.

Mussolini zamierza rzekomo omówić plan ten z Litwinowem celem zapewnienia sobie w dalszych rokowaniach w tej sprawie poparcia Sowietów.

Dalej utrzymują, że na prośbę rządu niemieckiego Mussolini poruszyć ma wobec Litwinowa sprawę naprężonych stosunków niemiecko-sowieckich. Mówi się także o pośrednictwie Mussoliniego między Sowietami i Watykanem. Sowiety w traktacie amerykańskim zgodziły się zagwarantować wolność wyznania obywatelom U. S. A., czyż nie mogłoby to być precedensem do załatwienia spraw Kościoła? Na niebie tych sukcesów sowieckich jest jednak chmura.

W kołach korespondentów pism zagranicznych w Berlinie kolportowana jest pogłoska o zawartem jakoby tajnem porozumieniu pomiędzy Niemcami a Japonją, a dotyczącem wspólnego działania na wypadek wybuchu konfliktu zbrojnego na Dalekich Wschodzie.

Umowy tajne pomiędzy Niemcami a Japonją obejmują między innemi tworzenie rosyjskich wojsk emigranckich w Niemczech, oraz współdziałanie z rządem japońskim w tworzeniu tych oddziałów emigranckich na Dalekim Wschodzie.

W każdym bądź razie Sowiety są na fali.

Nieomylnym sprawdzianem upadku Ligi Narodów są różne projekty jej przebudowy czy odbudowy. Takie tendencje rewizjonistyczne i remonterskie zawsze pojawiają się tam, gdzie chwieje się pewien układ stosunków. Układ stosunków zwany Ligą Narodów jest w stanie rozkładu — powiedział ktoś złośliwie, ale i wcale trafnie.

Wśród gorliwców, którzy nie od dziś zresztą — wspomnijmy Locarno, czy Thoirry — reparują nadszarpnięty autorytet Ligi Narodów pierwsze miejsce zajmują w tej chwili Włochy i ich champion Mussolini. Ten coraz bardziej ruchliwy mąż stanu dał się poznać w tej dziedzinie z projektu paktu 4-ch. Projekt był doskonały, tylko pech chciał, że przyszedł w nieodpowiedniej chwili t. j. w czasie gdy Hitler zaskakiwał Europę, szeregiem nieprzyjemnych posunięć, od bicia żydów do wystąpienia z Ligi Narodów włącznie. Mussolini nie zrezygnował jednak ze swej zasadniczej myśli przekształcenia Ligi Narodów na dwa koła 1-szej i 2-giej klasy kontrahentów. Myśl tę tylko nieco zmienił, uzupełnił i, przeczekawszy okres niechęci do Niemiec po pierwszej uwerturze hitlerowskiego reżymu, obecnie zaczyna ją lansować. Przedewszystkiem ogłosił światu, że niema mowy o wystąpieniu Włoch z Ligi Narodów. Następnie zwołał Wielką Radę Faszystowską, której uchwały zaskoczyły świat polityczny Europy.

Rada Faszystowska postanowiła mianowicie uzależnić pozostanie Włoch w Lidze Narodów od zupełnej reorganizacji tej instytucji, dotyczącej zarówno statutu jak i celów Ligi. Według urzędowej ajencji Stefaniego, włoski projekt reorganizacji instytucji genewskiej zawiera następujące punkty:

1) ograniczenie prawa głosowania państw mniejszych w sprawach, które nie dotyczą bezpośrednio tych państw; 2) gruntowna zmiana procedury obrad Ligi i 3) całkowite uniezależnienie statutu Ligi od traktatu wersalskiego i wszystkich innych traktatów powojennych.

Na dnie tych uchwał leży chęć powrotu do koncepcji paktu 4-ch z ewentualnem jego rozszerzeniem przez przyjęcie Sowietów, Stanów Zjedn. i Japonji. Te siedem państw otrzymałoby decydującą władzę w polityce światowej. Dla jej ułatwienia, dla tym łatwiejszego zaspokojenia aspiracyj hegemonistycznych tych państw Mussolini odrzuca traktaty, a ściślej mówiąc, klauzulę o rewizji traktatów. Teraz już jesteśmy w domu i możemy łatwo ocenić właściwe intencje Mussoliniego. Te światowładcze projekty nie znalazły jednak zbytniego uznania przedewszystkiem we Francji. „Temps", powiada, że równa się to przekreśleniu całkowitemu dotychczasowej roli instytucji genewskiej.

Natomiast prasa niemiecka, inicjatywę włoską przyjęła z wielkim entuzjazmem. Alfred Rosenberg wyraża na łamach „Voelkischer Beobachter" radość, że „zmurszała instytucja genewska" otrzymała cios z ręki Włoch. Głównym celem projektu włoskiego jest, jego zdaniem, oddzielenie paktu Ligi od Traktatu Wersalskiego. Rosenberg wyraża przytem nadzieję, że reforma Ligi w myśl planów Mussoliniego pozwoli Niemcom na honorowy powrót do Ligi Narodów.

Co myśleć o tych usiłowaniach Il duce? Prawnie mają one oparcie w art. 26 paktu Ligi. Przy zgodzie wszystkich członków Rady i większości członków Ligi mogą nastąpić zmiany. Czy jednak praktycznie taka zgoda jest do osiągnięcia? Należy w to wątpić. Co za tem idzie, plan Mussoliniego jest dywersją, której celem jest pociągnięcie mocarstw do m. w. tajnej dyplomacji i pertraktacji w oparciu o Włochy.

Z TEATRU

Po świetnej realizacji arcydzieła fredrowskiego „Zemsta", w obsadzie aktorskiej, która przejdzie do historji teatru, mamy obecnie w teatrze Narodowym arcydzieło Moljera „Świętoszek". Fabuła sztuki jest znana, nie potrzeba jej przypominać. Co do wykonania, to stoi ono na najwyższym poziomie i przewyższa niewątpliwie poprzednią realizację z przed kilku lat w teatrze Małym.

Teatr Polski dał prapremjerę sztuki B. Shawa „Nad przepaścią". Sztuka ta w fakturze przypomina „Wielki kram". Jest więc właściwie nietyle dramatem, ile wielkim popisem rezonerstwa. Świetność, paradoksalność i ostrość myśli — oto zasadnicze cechy tego wartościowego utworu. „Nad przepacią" przewyższa nieomal wszystko co dotąd Shaw powiedział w swych sztukach społecznych. Autor w pierwszorzędnym, dynamicznym dialogu, stawia przed oczy szereg aktualnych zagadnień, związanych z zagadnieniem rządzenia i nowoczesnym jego rozwiązaniem jak faszyzm:

„Jakkolwiek żywe i śmiałe argumenty autora wymierzały cios za ciosem zarówno w socjalizm, jak liberalizm i konserwatyzm, z żadnej strony nie było poważnych protestów. Niewątpliwie odezwą się, jak zwykle, głosy, że scena nie jest miejscem dla argumentów i argumentacji, że sama dyskusja nie wystarcza, że powinno się coś dziać. Nie zgadzam się z tem. Czyż można odmówić dramatyczności sztuce, która z bezstronnego punktu widzenia ukazuje i oświetla sprawę tak ważną, jak zagadnienie rządzenia krajem, która więc dotyka najistotniejszych fundamentów i podstaw naszego społecznego bytu? Poza nielicznemi dłużyznami nowa ta sztuka jest utworem doskonałego teatru, jest zajmująca i zabawna, a równocześnie wywiera wrażenie swoją podstawową ważkością i powagą. Jest to sztuka o wiele lepsza niż „Wielki kram". (New Chronicle).

„Z punktu widzenia konstrukcji technicznej sztuka ta może się wydawać wątłą i pozbawioną wszelkiej scenicznej intrygi. Posiada ona jednak wielkość i jest widowiskiem na wielką skalę i na wysokim poziomie". (The Daily Expres).

„Autor uczynił politykę rzeczą zajmującą i zabawną. Na tem polega triumf, który Shaw odniósł w 78-ym roku życia — w sposób niezaprzeczony i nie budzący wątpliwości. — Sztuka ta jest triumfem! To wszystko, co nas nudzi i nuży na politycznej arenie życia realnego, ukazuje się tutaj, przetworzone w świetną komedję idei, w której autor nie posługuje się, jak polityczni karykaturzyści, dobrze znanemi i popularnemi postaciami". (Morning Post).

„Bernard Shaw stał się faszystą, tylko nie wie jeszcze, jaki typ dyktatora podoba mu się najwięcej. W każdym razie ma dosyć demokracji i parlamentu, a na partję socjalistyczną jest srodze zagniewany. Aby nam to wszystko powiedzieć, napisał sztukę „Nad przepaścią". (The Daily Herald).

„W sztuce tej umysł Shawa pracuje, jak obracający się reflektor na szczycie latarni morskiej, rzucający dokoła jasny snop światła i ukazujący niebezpieczeństwo, którem grożą zarówno wzburzone fale, jak i ukryte pod falami skały. Autor wysyła tu swoje pociski torpedowe we wszystkich kierunkach i nie waha się mierzyć trafnie do tych kompleksów zagadnień, które dziś przypominają tonące okręty". (Manchester Guardian).

„Ktoś" Molnara, odegrany w teatrze Kameralnym, jest żartem scenicznym o wcale dużej dynamice. Problemu właściwie tu niema, jeśli nie policzyć za taki tęsknoty do małżeństwa i macierzyństwa u bohaterki sztuki. Zaspokojenie tej tęsknoty przez 1-sze małżeństwo z fikcyjnym człowiekiem, który nie jest wcale żywą osobą, lecz tylko „samem nazwiskiem", a jednak „żyje" przez swe interesy, nastręcza wdzięczne pole do groteskowego rysunku imponderabiljów ludzkiego istnienia, a bohaterkę niewątpliwie zachęca do małżeństwa na serjo z mężczyzną z krwi i kości, zdolnym dać jej szczęście żony i matki. W przekornym biegu wydarzeń komedjowych jest dużo filuterji i finezji, dzięki której podkreślony został nieśmiertelny pierwiastek ludzkiego życia — tęsknota za życiem rodzinnem. Świetnym ojcem, który na pół serjo, na pół żartem stworzył swej nieszczęśliwej córce fikcyjnego męża a potem pobłogosławił jej prawy związek, był Kwiatkowski. Aktor rasowy, pełen subtelnej vis komica. Doskonale sekundowała mu Horska, stwarzając wdzięczną sylwetkę prawdziwej kobiety, zdolnej tęsknić do małżeństwa i rodziny. Reszta zespołu na wysokości zadania.

ZE SZTUKI

Doroczny salon „Zachęty" przynosi jak zwykle wiele dzieł różnego pędzla. Spotykamy tu znane nazwiska i znane oraz uznane sposoby malarskie, przeważa zresztą umiar, daleki od ekstrawagancyj tematycznych i fakturalnych. Trudno zresztą o to w portretach „na zamówienie", od których roi się wystawa. Pewne wykunsztowanie, wyidealizowanie portretowego pacjenta jest przecież regułą, od której zależy zamówienie i honorarjum. Snobizm publiczności nie idzie aż tak daleko, by twarz złożoną z trójkątów i kwadratów i podpis w postaci formuły algebraicznej czy wzoru pseudochemicznego uznać za najlepszy portret. Każdy chce być jednak podobny do „siebie" a przytem i „do anioła". Przerabianie zjadaczy chleba na aniołów jest może zresztą szczególnem powołaniem sztuki, które usprawiedliwia jej istnienie. Nie mogąc mówić o wszystkiem i o wszystkich, o pejzażach i martwych naturach, o rzeźbach i witrażach, o kilimach i lalkach, poprzestaniemy tu na wyliczeniu oficjalnych nagród.

Sąd konkursowy salonu „Zachęty" na 1933 rok przyznał następujące nagrody: Nagrodę m. Warszawy I-szą (zł. 750) — otrzymał Henryk Szczygliński za obraz olejny „Rozwiośniona Narew" nr. 144, II-gą (250 zł.) — Józef Jasiński za rzeźbę „Warneńczyk" nr. 186. Nagrodę im. s. p. L. Łempickiej (zł. 725) — otrzymała p. Anna Roemerowa za obraz akw. „Powrót z kiermaszu". Nagrodę im. ś. p. M. Lenckiej (zł. 650) — p. Stanisław Zawadzki za obraz olejny „Serenada" i drugą (650 zł.) — Antoni Grabarz za obraz olejny „Muzykanci".

Nagrodę im. Miłośników Członków Tow. Z. S. P. (350 zł.) — Wacław Bielawski za obraz olejny „Powrót z miasta" i drugą (350 zł.) — Stanisław Dybowski za obraz olejny „Chata".

Nagrody Tow. Zachęty Sztuk Pięknych otrzymali: Dyplom honorowy T-wa Zachęty Sztuk Pięknych za całą działalność artystyczną — p. Stefan Filipkiewicz.

Medalu złotego nie przyznano nikomu.

Medale srebrne otrzymali pp.: Gawiński, Karniewski, Nartowski, Piotrowski, Roguski.

Medale bronzowe: Jachimczyk, Janowski, Karniej, Nalewajski, Ossecki, Wilk, Roth, Znamierowski.

W IPS-ie mamy znów wystawę sztuki plastyków-legjonistów.

Z przedmowy do katalogu dowiadujemy się, że to jest chyba jednym z największych powabów, jednym z najczulszych wdzięków wystawy niniejszej: miłość sztuki, dobrowolnie na plan ostatni odrzucona, poprzez służbę dla świętej sprawy raz wraz przebłyskująca...

Trzeba zauważyć, że ta służba dla sprawy z wyjątkiem niektórych kompozycyj jak Z. Grabowskiego „Bitwa pod Konstiuchnówką" oraz pamiątek, stosunkowo mało jest widoczna — Wystawa jest raczej nagromadzeniem utworów ludzi należących do jednego sztandaru, bez względu na temat ich dzieł.

Ta przynależność sprawiła, że nieraz zbyt pobłażliwie oceniano wartość artystyczną dzieła. Pomijając to jednak, trzeba uznać fakt, że w legjonach znalazło się wiele elementu ludzkiego, uzdolnionego artystycznie, i że było rzeczą godziwą i piękną zgromadzenie w jedną całość, a bodaj i z czasem w jakiemś muzeum rozproszonych pamiątek. Obok wystawy legjonowej, mamy też w IPS-ie ciekawe eksponaty nowoczesnej architektury, a w tej liczbie i projektu świątyni Opatrzności, przez Pniewskiego.

J. St. Cz.

Z PIŚMIENNICTWA

JÓZEF POLLAK: Via crucis. Dom Książki Polskiej, str. 323.

Nad dziwną i doniosłą powieścią Józefa Pollaka nasza krytyka, z właściwym sobie olimpijskim spokojem o wszystko, co nie dotyczy życia ludzkiego poniżej przepony brzusznej, przeszła do porządku dziennego. Jeśli ktoś napisze reportaż z domu publicznego — talent! Jeśli pensjonarka domu publicznego wydrukuje swe wspomnienia — wielki talent! Jeśli perfidny karjerowicz zastanawiać się zacznie nad życiem seksualnem Mickiewicza — genjusz! Ale gdy się zjawia człowiek, który miotany troską o duchowe oblicze społeczeństwa, szuka nowych dróg... Tak! To, niestety, jest cechą naszych czasów: zobojętnienie wobec rzeczy, które swą treścią musiałyby nas zmusić do rewizji, do bilansu, który miałby niewątpliwie ujemne saldo. Dlatego powieść Pollaka została, poza nielicznemi wyjątkami, przemilczaną, choć treścią swą zasłużyła sobie na to, by się znaleźć w każdym prawdziwie polskim domu.

Pollak poszukuje nowego człowieka, troszczy się o typ nowego, zdrowego obywatela. Pollak wierzy w to, że z zamętu i chaosu, pomieszania i bankructwa duchowego czasów, w których żyjemy, wyjdzie nowy człowiek: silny i pełen wiary. „Nie dociekajcie, ino wierzcie, bowiem Bóg znaczy drogi, któremi kroczycie" — ostrzega autor „Via crucis". „Szczęśliwy jest tylko ten, kto niezłomnie wierzy". Pollak wierzy, że nasze czasy są okresem, w którym Bóg wystawił ludzkość na próbę. Wierzy w to, że przyjdzie czas, w którym ludzkość przejrzy i ozdrowieje.

Jednocześnie Pollak przestrzega: „Oparliście świat na kłamstwie! Czy długo wytrzyma? Czy nie słyszycie, jak wiązadła trzeszczą"? — woła do nas z kart swej powieści. W spaczeniu przepięknej nauki Chrystusa widzi autor (nawiasem trzeba zaznaczyć, profesor jednej z wyższych uczelni) przyczynę największego zła. Chrystusa niema w pożyciu narodów — oto główny powód groźby nowej wojny, wiszącej nad światem.

„Każdy obywatel, czasu pokoju czy wojny, jest żołnierzem, walczącym zawsze i ciągle, do ostatniego tchu na froncie, na którym rozgrywają się każdego czasu losy ojczyzny" — woła Pollak z kart tej książki, będącej radosnym dokumentem, iż Polska ma jednak pisarzy, których troską dnia jutrzejszego jest dobrze pojęty dziś obowiązek.

Książka Pollaka to nietylko żywa, ciekawa, z talentem napisana powieść — to katechizm wychowania narodowego, który musi i powinien każdego myślącego człowieka pociągnąć swą głębią i prostotą zarazem.

Możnaby jednak tej książce zarzuty natury formalnej poczynić — możnaby mieć zastrzeżenia co do form stylistycznych (przyznam się, że parę usterek znalazłem), możnaby grzmieć przeciw zbyt pochopnemu i jednostronnemu naświetleniu działalności drugiej i trzeciej „międzynarodówki", możnaby zarzucić autorowi parokrotne sztuczne naginanie akcji do celów narracyjnych, ale nie można przejść obok tej niezwykłej książki obojętnie. Zbyt wielki ból, poprostu przejmujący fizycznem cierpieciem ból, tchnie z każdej stronicy „Via crucis". Książka ta jest dokumentem walki o żywego człowieka, wyzwolonego z niezdrowych przesądów, ale wiernego Bogu i Ojczyźnie. Książka Pollaka wstrząsa sumieniem! Cóż możnaby dodać do ostatniego zdania? Chyba to, że najszczytniejszym, najwspanialszym celem pisarza jest wywołanie wstrząsu sumienia w czytelniku, wydobycie na światło nowych wartości. Józef Pollak swem „Via crucis" wstrząsnął sumieniem. Jeśli od tego wstrząsu nie zatrząsł się gmach obłudy i hipokryzji, to chyba dlatego, iż jeszcze nie nadszedł czas.

Stanisław Brochwicz.

MARJA CZESŁAWA PRZEWOSKA (Helja): **Sursum corda.** — W-wa. Dom Książki Polskiej. — Poezje, str. 150.

Słusznie powiedział w swoim czasie Zdzisław Dębicki, że „działalność literacka i publicystyczna autorki jest jednym aktem „dobrej woli", tej, o którą nauczał nas modlić się do Boga Zygmunt Krasiński".

Cały plon tej twórczości o charakterze lirycznym zgromadziła autorka w tomie „Sursum corda". Wielbiciele poezji romantycznej znajdą w tej książce bliski swemu sercu ton i zrozumiałą melodję i przeżyją zapewne niejedno wzruszenie. Czysta i podniosła atmosfera duchowa panująca w utworach autorki, koturnowy patos patrjotyczny przy metafizyce zresztą oszczędnej, wszystko to składa się na całość piękną i instruktywną. Znamionująca zaś te utwory religijność wyróżnia je dodatnio wśród podobnej twórczości poetyckiej.

Za Józefem Kotarbińskim możemy powiedzieć, że „z głębi swej wewnętrznej prawdy niesie Helja rodakom ten zbożny różaniec — wezwań, hymnów, górnych modłów i patrjotycznych natchnień".

FR. WEISER: Światło gór. Tłum. z niem. ks. Wojciech Gajdus — Kraków 1933. Wyd. Księży Jezuitów, str. 148.

W plastycznych obrazach mamy odmalowane w tej powieści życie i atmosferę stosunków wśród młodzieży szkolnej w Austrji. Bohater powieści, Janek typ szlachetnego i czystego młodzieńca, który śmiało wyznaje Chrystusa i umie konsekwentnie przeprowadzać swe ideały. Autor dyskretnie dotyka zagadnień erotycznych, nie szczędząc jednak mocnego oświetlenia tego problemu. Tragiczna śmierć Janka, który ginie w górach, jest najwyższym akcentem małego dramatu, który rozegrał autor na kartach swej powieści. Przekład staranny, jędrny, jasny co jest zasługą ks. W. Gajdusa.

DEOTYMA: Królowa Jadwiga czyli Księga Miłości — Warszawa, str. 94.

Dobrze się stało, że ks. Kuczyński wydał ponownie poemat Deotymy o królowej Jadwidze. Wstęp utworu przypomina nam atmosferę „Boskiej Komedji" Danta. Druga część obrazuje dziecięce lata Jadwigi i jej miłość do Wilhelma. — Imię Deotymy uwalnia nas od obowiązku pochwały.

K. BERKANÓWNA: Którędy pójdziesz? Trzy drogi życia. Cena 1.20 i 25 gr. przesyłka. Do nabycia u autorki — Poznań, Matejki 53. P. K. O. 202.494 i we wszystkich księgarniach.

Ukazuje się już czwarty tomik bibljoteczki społecznej Berkanówny, p. t. „Którędy pójdziesz"? Chodzi mianowicie o wybór stanu dla młodzieży. Książka zajmie nietylko młodzież, ale więcej może jeszcze wychowawców i kierowników sumień i akcji społecznej. Ze szczególną uwagą omawia autorka sprawy apostolstwa świeckiego, tak dziś głośnego. Jak w poprzednich tomach: „Tak mi ciężko", „Ty i ludzie" i „Co robić"? tak i tym razem dodaje autorka dopisy adresów, które umożliwiają dalsze badanie poruszonej kwestji.

Należy czytać i rozpowszechniać bibljoteczkę społeczną Berkanówny: jest na czasie, daje materjały dla pogadanek, artykułów, a może i do — rachunku sumienia.

AKADEMICY SŁOWIANIE W POLSCE

Studentów obcokrajowców studjujących w Polsce są dwie kategorje. Jedni: to, albo Polacy-obcopoddani, albo młodzież pochodzenia polskiego, pragnąca poznać kraj swoich dziadów i ojców, inni, to najautentyczniejsi cudzoziemcy.

Ciąg na polskie uczelnie pomału, ale systematycznie wzrasta, a żywe zainteresowanie nauką polską budzi się przedewszystkiem coraz bardziej wśród pokrewnych nam ludów słowiańskich. Główna bowiem przeszkoda dla cudzoziemskiego napływu na nasze uczelnie jest małe rozpowszechnienie i nikła znajomość języka polskiego na zachodzie. Dla Słowian trudność ta jest stosunkowo małą tylko przeszkodą, bowiem łatwiej jest dla nich nauczyć się po polsku, aniżeli opanować któryś z obcych języków Europy zachodniej. Dlatego państwa słowiańskie coraz baczniejszą zwracają uwagę swej młodzieży na polskie uczelnie tem więcej, że nie wszystkie z pośród nich posiadają wyższe uczelnie, albo też w niektórych uczelnie są jeszcze bardzo młode i nie mogą zaspokoić wszystkich potrzeb naukowych swego studenta, lub poprostu pomieścić całą, pragnącą wiedzy, młodzież w swych szczupłych ramach. Pozatem wszystkie te kraje są przeważnie „na dorobku", są to państwa młode, społeczeństwa zmuszone do życia bardzo oszczędnego, — wysyłanie młodzieży na dalekie studja do drogich krajów Europy zachodniej jest dla nich zbyt kosztowną imprezą i dlatego Polska bliska, tania, szczycąca się wysokim poziomem swej nauki, coraz bardziej przyciąga uwagę tych społeczeństw.

Z pośród Słowian uczących się w Polsce, pierwsze miejsce zajmuje młodzież czechosłowacka. Ogółem jest w Polsce około osiemdziesięciu przedstawicieli sąsiedniej słowackiej republiki. Z liczby tej 16-tu to Czesi, Słowacy, pozostali — Polacy, poddani czechosłowaccy. Jeżeli chodzi o podział terytorjalny, to w Krakowie studjuje 29 obywateli czechosłowackich, w Warszawie i Poznaniu po 12, reszta we Lwowie i Wilnie. Najliczniej obesłane są przez czechosłowackich obywateli fakultety: filozoficzny (20) i lekarski (14), mniej licznie rolniczo-leśne (7) i prawny (5). Poza przedstawicielami czechosłowackiej młodzieży na wyższych uczelniach polskich studjuje około 35 Bułgarów, kilkudziesięciu Rosjan (emigrantów), kilku Jugosłowian.

Młodzież słowiańska stworzyła w Polsce Akademicki Związek Słowiański, powołany do życia w roku 1929, a skupiający całą słowiańską młodzież akademicką, studjującą w Polsce. Zadaniem tego związku oprócz wzajemnej między Słowianami łączności i wzajemnej pomocy w nauce, jest poznawanie Polski, popularyzowanie jej kultury między swymi rodakami, wytwarzanie łączności kulturalnej między Polską a bratniemi narodami, pozatem organizowanie wycieczek do krajów słowiańskich i z tych krajów do Polski. Z kół wchodzących do Związku Akademickiego Słowian studjujących w Polsce najwięcej dotychczas aktywnej działalności wykazały koła bułgarskie im Cyryla i Metodego z Christo Botewa.

Christo Botew, był to najznakomitszy pisarz bułgarski. Żył w latach 1847—1876 i na Parnasie bułgarskiej poezji zajmuje napocześniejsze miejsce.

Te związki młodzieży bułgarskiej rozwijają w Polsce żywą pracę kulturalną, skupiając wszystkich młodych Bułgarów i Bułgarki, mieszkających w Warszawie. Działając w trzech zasadniczych kierunkach: naukowym, towarzyskim i propagandowym. Dzięki wydajnej pomocy Związku Studentów Bułgarów, liczba młodych akademickich przedstawicieli tego państwa wzrosła znacznie, bo z 10-ciu w roku 1929 do 35-ciu w roku bieżącym, w myśl maksymy, jaką sobie obrali — „jeden przywozi dwóch" (t. zn. 1 studjujący przywozi podczas wakacyj 2-ch nowych na studja). Akcja propagandowa imienia Polski w Bułgarji w czasach ostatnich wyraziła się w cyklu artykułów o Polsce, o Wyspiańskim, o kulturze polskiej, o teatrach Szyfmanowskich, o polskim teatrze regjonalnym, o konkursie muzycznym im. Chopina. Artykuły te drukowane były w literackich pismach bułgarskich, „Ojczyzna", „Mizak", a napisanych przez byłego prezesa akademickiego Związku Bułgarów, p. Kisiełkawa. Tenże akademik-Bułgar, przetłumaczył na język bułgarski poemat Jerzego Brauna — „Europa", wyjątki z korespondencji Chopina, oraz w kilku pismach polskich opublikował szereg artykułów o współczesnej Bułgarji i jej literaturze. W lutym roku ubiegłego była zorganizowana w Warszawie wystawa bułgarska.

Z krótkiego tego szkicu wysnuć można śmiało wniosek, że nasi młodzi pobratymcy nie tracą w Polsce czasu napróżno i że dłuższy ich pobyt na naszej ziemi będzie miał dla nas tę cenną korzyść, że wśród ludów pokrewnych nam pochodzeniem i językami zasieje ziarna prawdziwej o naszym narodzie i państwie wiedzy.

W rozmowach, jakie przeprowadziłem z przedstawicielami młodzieży słowiańskiej wszyscy oni wyrazili się ze szczerem zadowoleniem o warunkach studjów w Polsce i mówili, że poziom kultury polskiej i studjów naukowych zjednywa Polsce coraz liczniejsze zastępy chętnych do przyjazdu na nasze uczelnie. I to jeszcze podkreślono, że społeczeństwo polskie wykazuje w porównaniu z innemi narodami zachodu wyższy poziom wiadomości ogólnych. W Polsce wiadomości historyczne, geograficzne, uświadomienie narodu w kwestjach polityki zagranicznej, obrony interesów narodowych, jest tak wysokie, że przez sam fakt przebywania wśród polskiego społeczeństwa zyskuje się bardzo wiele, co nie zawsze da się osiągnąć wśród innych narodów zachodu, których ignorancja na polu, powiedzmy wiadomości geograficznych, historycznych, często jest przysłowiowe. **Ludomir Rubach.**

POETA

Słowa swoje uskrzydlę, polecą jak ptaki
i zadzwonią piosenką młodzieńczą, radosną,
w szarzyźnie życia powytaczam szlaki,
co będą lśniły barwą, pachły wiosną —
opaszę wszystko jak złotą obręczą
krasą moich urojeń, marzeń moich tęczą.

Serca wasze rozpalę uczuć huraganem,
wybuchną jak Wezuwjusz rozszalałą lawą,
bo poetą ja jestem, słów i uczuć panem,
życie w pieśni dam temu, co w snach było zjawą —
jednego tylko uczynić nie mogę:
własnego życia rozsłonecznić drogę.

Ks. Franciszek Błotnicki.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Synu, ogień goreje, lecz płomień nie wznosi się bez dymu.

Tak niektórzy goreją żądzą rzeczy niebieskich, a jednak od pokus zmysłowych wolnymi nie są.

A przeto w gorących modłach swoich, niezupełnie są czyści, nie samego tylko Boga mają na celu.

Takiem jest częstokroć i twoje żądanie, które zdradza się niecierpliwą prośbą twoją.

Albowiem nie jest czystem i doskonałem to, co jest skażone żądzą osobistych widoków.

Tomasz à Kempis.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

DZIELMY SIĘ!

Czy jakiekolwiek hasło jest w stanie więcej wyrazić swem brzmieniem, więcej niem wzruszyć i więcej zniewolić do ofiarności nad to krótkie wołanie?

A tego właśnie chwila obecna od nas wymaga, na to czeka, nie pozwalając na żadne odkładanie czynu, bo jednocześnie, stają nam w myśli tysiące przez los dotkniętych ludzi, tysiące wyciągniętych rąk po jałmużnę, tysiące rozpacznych głosów wołających o pracę, której dać nie możemy.

Kto z nas dziś niema bliskiego zetknięcia z biedą? Kto nie widzi tych coraz bledszych twarzy — ludzi źle odżywianych? Kto nie patrzy na dzieci wynędzniałe? Kto nie obserwuje tego groźnego milczenia, graniczącego z rozpaczą i tych resztek godności, która zabrania żebrać, a jednak nie nasuwa żadnych środków innych do ratowania życia własnego lub życia najdroższych?

Przyczyny tego stanu? Pociechy, tak mało z chrześcijańską cnotą mające pokrewieństwa, że innym jest tak samo, albo może i gorzej — to wszystko dziś odrzucajmy. To są martwe frazesy.

Po życia ratunek dla tysięcy ludzi musimy iść natychmiast, zanim pokotem to życie będzie im odbierał — głód.

Zostaje nam jedno: *Doraźna pomoc.* Kto grosz, to bodaj grosz. Kto więcej, Panie Boże zapłać! Byle prędko, byle zaraz, byle rozpogodzić oblicze ojca i matki, niosąc ratunek dzieciom. Byle skrzepić siły starca. Byle nie doprowadzać do rozpaczy — młodości, która nieświadoma długiej walki z życiem i wytrwania w niej człowieka, tragicznie przecina drogę, w jakiej nie umie dopatrzeć pocieszenia.

Dzielmy się więc! Dzielmy stale, ciągle. Organizacja, prawdziwie chrześcijańska, mieszcząca swą centralę przy ulicy Mochnackiego 11, parter, służy nam swem pośrednictwem w niesieniu pomocy prawdziwej niedoli.

Jeśli mamy pracę zawodową, jesteśmy nią pochłonięci.

Jeśli dom rodzinny, aby go w należytym ładzie utrzymać i wszystkim obowiązkom zadość czynić, bywamy często tak zatroskani, że już na nic postronnego nie zostaje energji. Nie starcza czasu na służbę miłosierdzia. Dzień goni dzień. Godzina — godzinę. A nędza nie czeka. Rośnie też z godziny na godzinę. Niszczy. Zabija. Zdobywajmy się na doraźną decyzję. I z ofiarą zwracajmy się do Centrali na Mochnackiego 11. A dobrego jej rozdziału bądźmy pewni.

Czy w tych warunkach, w jakich dotąd jesteśmy, możemy dopuścić, aby panował i rósł głód!? Jest ciężko, prawda. Ale jeszcze nie brak ludzi dostatnich, nawet zamożnych i chętnych do niesienia pomocy. Czy nie widzi każdy, kto patrzyć chce, że u nas właśnie jest tak, jakby ludzie tylko czekali na hasło i wezwanie, aby dać hojną ofiarę.

Czy nie czytaliśmy na łamach „Kurjera Warszawskiego“, gorących i w przepiękną formę ujętych słów Kornela Makuszyńskiego, nawołującego o datki na wpisy szkolne. Ks. biskupa Szlagowskiego, prof. Bronisława Koskowskiego, prof. Dziubartowskiego o ofiary na zapłacenie czesnego dla Akademików. Posłanki Zofji Zaleskiej o grosze na szklankę gorącej herbaty w świetlicy prowadzonej przez Narodową Organizację Kobiet.

Czy nie płynęły i nie płyną długim szeregiem ofiary na różne cele z biedą ludzką a niesieniem jej pomocy związane.

Więc dzielmy się! Kto może u siebie dać łyżkę strawy biednemu — to u siebie. Kto w Centrali, kto grosz ofiarny zaniesie do redakcyj pism, byle ukoić ból bliźniego, a niezawodnie i trwogę własnego serca o los nieszczęśliwych. Niech każdy poczuje się szeregowcem w wielkiej armji szlachetnych, która wyjdzie na walkę z ludzką niedolą i ratować będzie to, co jest najdroższem skarbem ludzkim — życie.

Lodem ścina serce wieść, że w olbrzymiej, pełnej bogactw Rosji — „miljony ludzi padają z głodu“.

O ileż boleśniej ranią nas te wieści z własnego kraju, kiedy czytamy, że na Śląsku, bezrobotni w jaskiniach ciemnych szukają schronu, w których często wyziewy gazów ich uśmiercają. To już nadmiar bólu i cierpienia.

Cały naród, aby się nie zatruł egoizmem i własną biernością nie kalał duszy chrześcijańskiej, musi żyć dziś ratowniczem hasłem: *Dzielmy się!*

L. Kotarbińska.

ODZNACZENIA PRACOWNIC DOMOWYCH ZA WZOROWĄ PRACĘ

„Związek Pań Domu nadsyła nam komunikat, który niezawodnie zainteresuje i panie domów naszych i ich domownice. Przysporzy niezawodnie dużo chwil zobopólnego zadowolenia, o zdobywanie których właśnie dziś więcej aniżeli kiedykolwiek winniśmy zabiegać. *R.*

1. Związek Pań Domu wprowadza udzielanie zaszczytnych odznak i dyplomów stałym pracownicom domowym za wzorową pracę w jednym domu, względnie w jednej rodzinie, to znaczy u rodziców, dzieci i wnuków w prostej linji przez okres pełnych lat 5, 10, 15, 20, 25, 30 i wyżej.

2. Udzielanie odznak ma na celu z jednej strony wyróżnienie poszczególnych wzorowych pracownic domowych za ich pracę, a z drugiej — podniesienie godności ich zawodu, jak również rozpowszechnienie przekonania, że wzorowa ich praca jest szanowana i oceniana przez zrzeszone w Związku panie domu.

3. Za wzorową pracę uważa się: długoletnia praca, umiejętność, wydajność i oszczędność, życzliwość.

4. Do odznaczeń mogą być przedstawione *tylko pracownice, zatrudnione u członkiń lub członków Z. P. D. honorowych, rzeczywistych i wspierających.*

5. Odznaki zaszczytne udzielane są w formie broszek, wyobrażających godło Związku Pań Domu. Broszki są różne, zależnie od okresu czasu przeprapracowanego, a więc:

za 5 lat pracy			broszka	mała	bronzowa
„ 10	„	„	„	duża	„
„ 15	„	„	„	mała	srebrna
„ 20	„	„	„	duża	„
„ 25	„	„	„	mała	złota
„ 35	„	„ i więcej	„	duża	„

Na odwrotnej stronie broszki wyryta jest data jubileuszu.

6. Koszt odznaki ponosi członkini Z. P. D., pracodawczyni nagrodzonej.

7. Równocześnie z odznaką wydaje się zaświadczenie Zarządu Głównego w formie dyplomu. Na dyplomie, obok pieczęci Zarządu Głównego figuruje pieczęć Oddziału.

8. Dyplom wydaje Zarząd Główny bezpłatnie.

9. Podanie o przyznanie odznaczenia winno być złożone przez członkinię, u której kandydatka jest zatrudniona, najpóźniej na 3 miesiące przed wręczeniem odznaki do Zarządu Głównego Z. P. D. za pośrednictwem miejscowego Oddziału, z dołączeniem dokumentów, stwierdzających wzorową i nieprzerwaną pracę kandydatki (§ 1 i 33 i z dołączeniem należności za odznakę, odpowiednią do lat pracy (§ 5 i 6).

10. Podanie o przyznanie odznaczenia winno być niezwłocznie przez Zarząd Oddziału rozpatrzone i po stwierdzeniu, że dana kandydatka istotnie przez tyle lat u członkini Oddziału pracowała, przesłane wraz z opinją i wpłaconą kwotą do Zarządu Głównego.

11. Zarząd Główny uchwala przyznanie odznak na swych kwartalnych zebraniach.

12. Wręczenie odznaki odbywa się na jednem z najbliższych zebrań Oddziału przez przewodniczącą, w obecności pracodawczyni.

13. Pracodawczyni na specjalne żądanie może otrzymać odznaczenie pocztą, za pośrednictwem swego oddziału i wręczyć je osobiście swej pracownicy.

14. Prawo do wydawania odznaczeń przez Zarząd Główny, jak również wzór odznak i dyplomów Związek Pań domu są prawnie zastrzeżone.

15. W razie, gdy pracownica, po otrzymaniu pierwszej odznaki pozostaje nadal w jednej rodzinie, pracodawczyni, po upływie każdego następnego okresu 5 lat może zwracać się do Związku Pań Domu o przyznanie jej odpowiednich odznaczeń wyższej kategorji.

Zarząd Główny Związku Pań Domu.

„JAK BADAMY DNO MORZA?"

(Odczyt, jaki wygłosił prof. Dr. Jan Rostafiński, na ogólnem zebraniu „Sekcji Kobiet L. M. K.").

„I rzekł Bóg: niech się zbiorą wody, które są pod niebem, w jedno miejsce, a niech się ukaże sucha powierzchnia. I stało się tak. Suchą powierzchnię Bóg nazwał ziemią, a zbiorowiska wód nazwał morzem. I rzekł Bóg: niech ziemia rodzi zioła i drzewa. I stało się tak. I nastał dzień trzeci".

Tak zaczął swój piękny wykład prof. J. Rostafiński, wobec pełnej sali na ogólnem zebraniu „Sekcji Kobiet L. M. K.".

Opowiadał nam dalej o tem, że dawniej badano dno morskie za pomocą t. zw. lotowania, to znaczy zapuszczania sondy metalowej z ołowianką na końcu. To było kłopotliwe, niedokładne, zabierało wiele czasu. Dopiero myśl J. Curie (1880 r.), by zastosować fale dźwiękowe, dała początek nowoczesnej technice przy zastosowaniu aparatów USA w/g pomysłu R. A. Fessendena lub francuskich, najdokładniejszych inż. Lagevin'a. Szybkość przebiegu fali dźwiękowej w wodzie na sekundę wynosi 1.500 m., zatem, wiedząc chwilę jej nadania i powrotu, po odbiciu się od dna morskiego, w/g chronometru, można dokładnie ustalić jak w danem miejscu jest głęboko. W ten sposób przekonywamy się o rzeźbie dna mórz. To jest potrzebne do badań klimatycznych na morzu, prądów głębinowych, linij Iceber-gów (płynących gór lodowych) itp.

Prelegent przedstawił teorję „płynności lądów", a potem mówił o tem jak wyglądały badania dawne dna Atlantyku i nowoczesne statku „Meteoru" na podstawie akustyki echowej wodnej. Prób takich przeprowadzono przez dwa i pół lat w ilości 64.500 „sondowań". Liczne ryciny ilustrowały przemówienie.

W zakończeniu poruszył sprawę dzisiejszego morza północnego i Bałtyku, który przed wiekami był morzem zamkniętem, od zachodu, koło dzisiejszej Danji, słowiańskiem, mając natomiast oddech poprzez dzisiejsze jeziora (Łagoda i Onega) z morzem Białem.

Tu badania denne nie są potrzebne, to jest morze płytkie, ale morze. A morze, to synonim „Wolności", to oddech na wielki świat..., to „Młodość" kraju. Trzeba być w swych poczynaniach mędrcem wiecznie młodym i w imię tej zasady śledzić postęp i uczyć się, uczyć bez końca.

Piękna forma, jasny wykład, swoboda i ujmująca prostota, z jaką prof. Rostafiński przedstawiał zebranym trudne dla laików zagadnienia, które przykuwały jednak uwagę całej sali, ciekawe projekcje świetlne, rzucone przez epidjoskop, zostawiły niezapomniane wrażenie. To też przewodnicząca, dziękując profesorowi za ofiarowanie jego pracy, jedyny wyraz wdzięczności, jaki znalazła na określenie uczuć zebranych — to prośba o dalszą jego o „Sekcji" naszej — pamięć.

Na następne ogólne zebranie, mamy już przyrzeczony odczyt jen. Kwaśniewskiego, który będzie mówił „O żegludze śródlądowej". **L. K.**

POMÓWMY O DZIECIACH...

Ach! jaki ten Jaś leniwy! — biada matka. Uczy się źle? — Nie, tego powiedzieć niemogę. Lekcje odrabia nawet chętnie, ale wogóle taki ociężały, ruszyć mu się nie chce do niczego... wstawać rano nie lubi... Czyż jest istotnie leniwy? A może to co innego, może to nie lenistwo? Rodzice tak często podciągają pod pewne ustalone kategorje postępki dzieci, niezgadzające się z ich pojęciami o grzeczności; zapominają przytem zbyt prędko, niestety, swoje wrażenia i przeżycia wieku dziecięcego, coby im ogromnie ułatwiło zajrzenie w duszyczki własnych dzieci. Może ten Jaś nie jest tak leniwy, jak się matce zdaje? Może on tylko zbyt szybko rośnie, rozwija się, a jego rzekome lenistwo, jest tylko instynktem samozachowawczym? Podświadomie broni swego młodego organizmu przed nadmiernym w danej chwili wysiłkiem.

Mała Hania, dobra uczenica, zalewa się łzami nad zadaniem bardzo prostem i łatwem, nie może go rozwiązać — matka się irytuje, nazywa ją leniuchem. Czy nielepiej przerwać odrabianie lekcyj i dać odpocząć dziecinnej główce, która widocznie jest tak wysilona, że w danej chwili niezdolna jest pojąć najprostszej rzeczy. Czyż to nie zdarza się dorosłym?

Rodzice w stosunku do swych dzieci posiadają zazwyczaj dwie wady. Pierwsze: to nadmierna ambicja. Z jakąż dumą mówią: — „Julek jest pierwszym w klasie" — lub — „Alinka ma dopiero 7 lat, a już jest w trzecim oddziale", — nie zastanawiając się nad tem, ile nadmiernych nieraz wysiłków kosztuje to dziecko i ilekroć odbija się to ujemnie na nauce w wyższych klasach. Drugie: to traktowanie dzieci w wymaganiach jak dorosłych. Dziecko — jak to pisałam już kiedyś — zawsze czuje się dorosłe, ale przecież niem nie jest. Jego organizm rozwija się, mózg pochłania masę nowych pojęć. Zastanówmy się nad tem, ile rzeczy, znanych i obojętnych nam dorosłym, są dla dzieci rewelacyjnemi odkryciami. Dorosły ma cel wytknięty w pracy i rozrywce — dla dziecka wszystko jest przeżyciem. Znałam wypadek, gdzie chłopiec, zły uczeń, roztrzepany i nieuważny w życiu — utrapienie swych rodziców — opinji ogólnej leniucha — przeniesiony w inne środowisko, stał się dobrym uczniem, myślącym i pracowitym człowieczkiem. Okazało się, że nie był leniwym, tylko zbyt pochłaniało go otoczenie, koledzy, reklamy, książki, goście... w środowisku odpowiedniem — odnalazł siebie. Naturalnie, że trafiają się dzieci leniwe, ale to naogół rzadko. Trzeba dobrze obserwować, czy to rzekome lenistwo nie pochodzi z wycieńczenia dziecka lub też ze zbytniej jego żywości. Obserwujmy, stwarzajmy mu warunki odpowiednie, a uchronimy się przed rozczarowaniami w przyszłości. Wchodzi tu jeszcze kwestja poczucia obowiązku — ale o tem innym razem.

Ewa.

KARNAWAŁ U DZIECI

Dawniej okres karnawałowy zaczynał się po świętach Bożego Narodzenia, w pierwszych dniach stycznia.

Po zakończeniu poważnego okresu adwentowego, pełnego postu i rozmyślań, wszyscy rzucali się w wir zabaw, kulisów, „tańcujących pączków" i tym podobnych radości.



Wyszycie z Chryplina, powiat Stanisławów.

Była to rzeczywiście pełna radość, tętniąca w sercach panien w mieście i dziewcząt na wsi.

W każdym domu czyniono przygotowania do zabawy większej lub mniejszej, młodzież wróżyła z różnych znaków swą przyszłość, a częstokroć karnawał kończył się weseliskiem.

Dziś tańczy się wolno, nudnie przez cały rok, o każdej porze dnia i nocy, w lokalach, kawiarniach, na łąkach, w basenie, w pustych wagonach, a nie wiele brakuje, by tańczono w aeroplanie, i rezultatem tego nuda i przesyt.

Może jednak rok 1934 przyniesie jakąś zmianę na lepsze, może wróci dawny zapał i szczera wesołość.

W oczekiwaniu tego zjawiska przyszłości pomyślmy o sukienkach na pierwszy bal dla naszych „milusińskich".

Taka kilkoletnia dziewczyneczka z błyszczącemi prawdziwą radością oczętami, ślicznie będzie wyglądać w białej, lekkiej sukience, przybranej na karczku, ramionkach, wokół spodniczki lub na pasku ręcznym haftem ludowym.

Na białej, lekkiej wełnie, lub batyście wyszyjmy bardzo ładny wzór z koszulki dziewczęcej z Chryplina w powiecie stanisławowskim na wschodnio-południowych rubieżach Polski.

Wzór ten, ażeby zakwitł w całej swej krasie, wymaga dokładnego zbadania.

Spróbujmy opisać do dokładnie.

W gwarze ludowej zowie się on „w pawie piórka" i rzeczywiście, wyszyty starannie, przypomina je.

Są to drobne motywy w rozmaitych barwach, a kwadraty środkowe są w czterech odmianach.

Żółty z czerwonym krzyżykiem na środku ma wokoło drobne ściegi różowe, i krótkie igiełki czerwone, łożyska zaś i pierwsze listki są ciemno zielone, drugie zaś jaśniejsze.

Następne piórka są niebieskie z obramowaniem żółtem, trzecie czerwone z żółtem, czwarte szafirowe w otoczeniu ściegów czerwonych.

Wszystkie listki jednakowe zielone, lecz jeszcze na planie obok każdego piórka podwójne krzyżyki w tej samej barwie, co środek motywu. Z obu stron wzoru biegnie stebnówka niebieska, a poza nią ząbki z pojedyńczych ściegów złożone.

Wzór ten, wykonany starannie, jest bardzo ładny, żywy w barwach i może być doskonałem wykończeniem strojnej sukienki dziewczęcej.

Do wyszycia na białej wełnie użyjmy kordonku Nr. 8, gdyż haft wystąpi wyraźniej i okazalej.

Jeżeli jednak zdobić nim będziemy lekką, batystową, markizetową czy nawet jedwabną sukienkę, haftujmy nicią zwaną „monlincé", dzieloną na dwie nitki. Przy hafcie na lekkich, przejrzystych, materjałach, musimy bardzo uważać na wykończenie na lewej stronie, gdyż niezgrabne przeciągnięcie nitki od jednego motywu do drugiego znać będzie na prawej stronie i zepsuje efekt haftu.

Również w delikatnych haftach nie mogą istnieć żadne guzki, ani węzły, któreby w czasie prasowania wybijały się na zewnątrz.

Opisanym powyżej wzorem przystrojona była biała koszulka czternastoletniej dziewczynki z Chryplina w powiecie stanisławowskim w Małopolsce.



rysowała Marja Stefkowa

Miejscowości noszących nazwę Stanisławów jest kilka, musimy więc ze względu na prawdę historyczną o haftach ludowych, określać również umieszczenie w województwie lub dzielnicy, by nie popełniać omyłki geograficznej.

Marja Stefkowa.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

W Warszawie odbył się w grudniu r. ub. **Zjazd pielęgniarek zawodowych.** Po nabożeństwie w kościele PP. Wizytek obrady odbywały się w gmachu szkoły pielęgniarstwa, Koszykowa 78. Obrady trwały 5 dni. Na ostatnim zjeździe w Brukseli było 2 000 pielęgniarek, należących do 45 krajów świata.

Zjazd „Koła Polek". Do zarządu weszły pp.: B. Błeszyńska, J. Bratkowska, K. Łubieńska, H. Morawska, H. Okolska, M. Podgórska, Z. Pełczyńska, M. Wołodkowiczówna i M. Zdumowska. — Uchwały: 1) Rada naczelna Koła Polek poleca prowadzenie nadal pracy dla żołnierza pracy świetlicowej oraz opieki nad dziećmi i młodzieżą przez zakładanie przedszkoli, kompletów, ogródków jordanowskich i kolonij letnich. 2) Rada naczelna Koła Polek za aktualną potrzebę uznaje i poleca pracę dla bezroboczych. 3) Rada naczelna Koła Polek uchwałą swą zatwierdza przekazanie Gródka — pow. Sokołów Podlaski — Tow. „Opieka" na rzecz tworzącej się fundacji im. ś. p. Michaliny Mościckiej.

Dotychczasowa przewodnicząca **„Młodych Ziemianek"**, p. Halina Doria-Dernałowicz, obejmuje obecnie stanowisko przewodniczącej sekcji młodych przy sekretarjacie jeneralnym Akcji Katolickiej. Opuszcza swe stanowisko z nadanym jej tytułem honorowej członkini Stow. „Młodych Ziemianek".

Jednogłośne wybory dały wynik następujący: przewodnicząca — p. Irena Gombrowicz, wice-przewodniczące — pp. Magdalena Skarżyńska i Róża Żółtowska, sekretarki — pp. Jadwiga Piasecka i Jadwiga Jankowska, skarbniczka — p. Marja Piwnicka, kierowniczka biura — p. Teresa Ciszkiewiczówna. Kierowniczki sekcyj zatwierdzono następujące: społecznej i organizacyjnej — p. Barbara Godycka-Ćwirko, oświatowej — p. Zofja Olszowska, gospodarczej — p. Olga Bieńkowska, zagranicznej — p. Elżbieta Budny, towarzyskiej (klubu) p. Marja Wodzińska.

Wysłuchano następnie bardzo pięknego i ciekawie ujętego referatu red. Klemensa Jędrzejewskiego p. t. „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe" i omówiono szereg spraw, związanych z projektowaną w nadchodzących miesiącach. działalnością. Najważniejszym punktem tych obrad była sprawa ujednolicenia prac zespołu Młodych Ziemianek przez skoordynowanie działalności wszystkich kół. Postanowiono w tym celu jednoczesne przerobienie w kołach wspólnych zagadnień i czynów społecznych.

Omawiana była również sprawa wielkiego kongresu Międzynarodowej Unji Związków kobiecych katolickich, który odbędzie się w Rzymie, w czasie świąt Wielkiejnocy.

Narodowa Organizacja Kobiet we Lwowie złożyła na ostatniem swem posiedzeniu sprawozdanie z akcji półkolonij dla biednych dzieci. W czasie ostatnich wakacyj urządzono 73 półkolonje w 23-ch powiatach Małopolski, z których korzystało około 6.000 dzieci. Zarząd złożył imieniem dziatwy Małopolski Wschodniej podziękowanie ofiarodawcom i redakcjom pism — z zamiejscowych „Kurjerowi Warszawskiemu" — za obywatelskie popieranie tej akcji. Celem dalszego popierania tej akcji wydano skarbonki z napisem „Na półkolonje dla polskiej dziatwy wiejskiej na Kresach".

Liga O. P. Państwa, licząca już miljon członków, choć powinnaby mieć ich tylu — ilu nas jest, zorganizowała piękną uroczystość, rozdając zasłużonym w pracy około rozwoju Ligi członkom pamiątkowe medale. Jedno z odznaczeń, w formie pięknego krzyża, przyznano p. Kazimierze Guranowskiej, jednej także z najpracowitszych członkiń „Sekcji Kobiet L. M. i K.", która w zarządzie zajmuje stanowisko przewodniczącej Sekcji dochodów niestałych i jest niestrudzona w ofiarnej pracy.

WYDAWNICTWA KSIĘŻY PALLOTYNÓW

KS. DR. T. MĄCIOR P. S. M.: Oto Serce, które ludzi tak bardzo ukochało. Krótkie wyjaśnienie nabożeństwa do Najsłodszego Serca Jezusowego. Cena 10 groszy.

KS. A. MAJEWSKI P. S. M.: Dla Chrystusa-Króla. Treść broszurki składa się z płomiennej zachęty do czynnej służby pod sztandarami Chrystusa-Króla w obecnych czasach, dalej Mszy św. na uroczystość Chrystusa-Króla, litanji i modlitw do Chrystusa-Króla. Cena 50 groszy.

„Posiew”, prenumerata kwartalna 2 zł. Polecamy tygodnik ten przewielebnemu duchowieństwo i inteligencji katolickiej.

„Przegląd Katolicki”, prenumerata kwartalna 5 zł. Treść urozmaicona. Artykuły omawiają wszelkie sprawy bieżące. Pismo stoi na straży zasad katolickich.

„Mały Apostoł”, najtańsze pismo w Polsce — prenumerata tylko 1.70 zł. rocznie. — Treść bogata. Ilustracje ładne. Powiastki zajmujące. Okładka opowiada: „Ja i niedźwiadek, idziemy na przechadzkę”. Nic też dziwnego, że dziatwa polska zasypuje listami „Starego Ambrożego”, który dla jej uciechy skrzętnie to wszystko zbiera, otaczając pismo całem swem szlachetnem, oddanem dobrej sprawie, sercem. — Sto tysięcy abonentów — za mało. Mamy nadzieję, że od nowego roku podwoi się ich liczba, co daj Boże!

CO WIEDZIEĆ KAŻDY POWINIEN?

Wiedzieć powinien, że czystość jest pierwszym warunkiem niedopuszczenia chorób zakaźnych. Więc niech będzie w domu — ubogo, ale chędogo — przedewszystkiem.

Wiedzieć powinien, że szczepienie ospy jest niezbędne, a szczepienie błonicy dało wyniki bardzo pomyślne. Na 17 277 dzieci szczepionych, zupełnie uodpornionych było 7.774 dzieci. Szczepienie odbywa się w ośrodkach zdrowia. Staranne matki niech tego nie zaniedbują.

Wiedzieć trzeba zwłaszcza tym, których córki idą na uniwersytet, że przy ul. Trębackiej 4, odbyło się poświęcenie nowego internatu dla akademiczek, założonego przez Tow. pomocy młodzieży żeńskiej.

Wiedzieć przyda się, że dla przysposobienia życiu gospodarczemu i społecznemu zastępów kobiet, przygotowanych do pełnienia obowiązków nietylko w gospodarstwach domowych (rodzinnych), ale i w gospodarstwach zbiorowych jak: pensjonaty, domy wycieczkowe, internaty, hotele i t. p., została przez naczelniczkę departamentu III W. R. i O. P. p. Marję Zaborowską powołana do życia państwowa **Szkoła hotelarsko-przemysłowa w Zakopanem**. Wobec zapotrzebowania pracy zarobkowej, a jednocześnie wobec rozwoju turystyki, a co za tem idzie, wzrostu domów wypoczynkowych, schronień, hoteli i t. p. — może właśnie ten zawód będzie miał dla kobiet dużą wartość.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. W. we wsi Żabno. P. Stefkowa poleca Redakcji podziękować Sz. Pani w rubryce „odpowiedzi” za jej miłe zainteresowanie się haftami ludowemi. Czeka odpowiedzi na list, który do Sz. Pani wysłała.

P. Bewr. w Żabnie także zapewne otrzymała już odpowiedź na swój miły list w sprawie wzorów na roboty z rysunkiem ludowym. Adres p. Stefkowej bezpośredni jest: Warszawa, Topolowa 5.

P. Marji Skwar. w Sieradzu. W Warszawie „Tow. Popierania Przemysłu Ludowego” zorganizowało stałą wystawę i sprzedaż oryginalnych wyrobów ludowych, przy ulicy Wierzbowej 8. Tkaniny, hafty, kilimy, ceramika, wszystko jest w bardzo pięknych okazach, tworząc nieskalaną cechę polskości. Musimy nauczyć się wierzyć, że każdy naród, uznając dorobki cudzej kultury, najwięcej ceni dokumenty własnej, i iść za tym przykładem.

Pannie Zofji z Tamki w Warszawie. Adres „Związku Pań Domu” mieści się przy ul. Nowy Świat 9, tel. 955-66. Radzimy bezpośrednie porozumienie. Z całą uprzejmością udzieli odnośnych objaśnień — sekretarjat Związku.

„Zapalonej narciarce”. — Niezawodnie drogi, ale doskonałe posiadający sportowe wszelkie przybory „Komispol” Krak.-Przedm. 16. Przypomnieć sobie należy — że czasem coś tanio kupionego — wypadnie drożej, bo nie będzie w dobrym gatunku.

Pannie Wandzie ze Staszycówki Wszelkiemi informacjami służy biuro Ligi M. i K., Widok 10. od 10 do 3. — Wycieczki letnie będą równie zajmujące. Radzimy Wisłą do Gdyni. Droga śliczna. I wygodnie i przyjemnie i tanio. Nasze statki.

P. M. W. w Grodźcu. Grób uczonego polskiego i czcigodnego obywatela kraju Stanisława Staszica (um. 1826) jest na Bielanach obok kościoła i klasztoru, w którym obecnie mieści się gimnazjum męskie z internatem OO. Marjanów.

Pannie Marji Z. z Kołaczkowa. Niech pani napisze do firmy ogrodniczej przy Instytucie Radowym — Wawelska 15. oznaczy, mniejwięcej cenę, jaką pani na to przeznacza, a spewnością piękny komplet małych czy większych kaktusików dostarczy pani, sumienna firma, co, z całą pewnością twierdzić możemy.

Wkłady oszczędnościowe w P. K. O. wzrosły w listopadzie o zł. 7.334.926, osiągając na dzień 30. XI. 1933 r. stan 457.624.744 zł. łącznie zaś z wkładami pochodzącemi z waloryzacji dawnych wkładów markowych zł. 484.042 864.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu listopada P. K. O. wydała 24.624 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 30. XI. 33 r. ogólną liczbę 1.108.632 książeczek, łącznie zaś z książeczkami pochodzącemi z waloryzacji 1 141.974 książeczek.

KĄCIK DLA DZIECI

KRÓL MIGDAŁOWY.

Jasny, słoneczny, białym śniegiem okryty, zbudził się świat w poranek Trzech Króli. Renusia wyskoczyła z łóżeczka i, wsunąwszy nóżki w ciepłe pantofelki, podbiegła do okna. Dzięki Bogu! Pogoda — przyjadą goście. Renusia mieszkała na wsi i rzadko widywała się ze swymi rówieśnikami. Jeszcze w lecie to częściej dzieci z sąsiedztwa zajrzały do niej lub Renusia do nich. Ale w zimie musiał być śliczny dzień i sanna doskonała, by dzieci przyjechały. Zawsze godzina, albo i więcej jazdy końmi — to nie żarty. Trzeba dobrze otulić nóżki i schować noski, by nie zmarzły, i całą drogę nic można było buzi otworzyć i siedzieć trzeba bez słowa, by się nie zaziębić pędem powietrza.

Naprzeciw okna siedziała na ośnieżonem drzewie czarna wrona i, kręcąc łebkiem, wypatrywała, czy nie leży co na śniegu do zjedzenia. — Wronko! Wronko! — zawołała Renusia — wiesz, że dziś przyjadą do mnie goście, bo dziś Trzech Króli, i będziemy wybierać króla migdałowego. A wiesz wronko jak to jest? Kraje się placek na równe części i każde z dzieci dostaje kawałeczek, ale choć te części równe, ale niejednakowe, bo wszystkie puste, a tylko w jednym jedniutkim siedzi migdałek, a kto go znajdzie będzie migdałowym królem albo królową i dostanie złotą koronę — ślicznie ją mamusia z tekturki i złotego papieru wykleiła — i płaszcz z czerwonej miętej bibułki. A reszta dzieci to dworzanie i każde też dostanie kolorową czapeczkę lub wianuszek. A król rządzi i wszyscy go słuchają i bawią się, w co on chce i krzyczą: niech żyje król migdałowy! Rozumiesz wronko! — Kra! Kra! — krzyknęła wrona w odpowiedzi i zerwała się z drzewa, bo wypatrzyła, że właśnie niesiono świnkom jedzenie, może i jej się uda coś zdobyć. A Renusia zaczęła niecierpliwie nawoływać nianię, by pomogła się jej ubrać. Przyszła niania i zaczęła trochę gderać, że Renusia tak rano wstała i będzie przy gościach niewyspana. Ale Renusia zaczęła głaskać nianię po twarzy i przymilać się do niej a prosić, by ją niania szybko i ładnie ubrała, w różową sukienkę. Udobruchana niania zaczęła ubierać dziewczynkę i, rozmawiając z nią, dowiedziała się, że Renusia tak chce ładnie wyglądać, bo spodziewa się, że wtedy zostanie królową migdałową. Oburzyła się niania:

— A cóż to Renka myśli, że suknia zdobi człowieka — prawiła — dobre serduszko i czysta duszyczka to ozdoba prawdziwa. A czy zasłużyła Renka na to? A czy to gosposi czy gościom się ten honor należy?

Zadąsała się na chwilę dziewczynka, ale tylko na małą chwileczkę, bo zaraz rzuciła się na szyję niani i już w najlepszej zgodzie poszły na śniadanie. Po śniadaniu zabrała się Renusia do porządkowania zabawek i ani się spostrzegła jak minął ranek i zawołano do obiadu. Po obiedzie jeszcze przygotowała gry przeróżne, przygotowała książeczki i właśnie niania wniosła placek trzejkrólowy, pokrajany na równe kawałeczki i ustawiła go na małym stoliczku, gdy zadźwięczały z podjazdu dzwonki sanek i wesoły gwar napełnił sień rozległą. Zerwała się Renka i jak strzała popędziła witać miłych gości. Po pierwszych powitaniach, pobiegli wszyscy za przewodem gosposi do jej pokoju, opowiadając sobie moc rzeczy ciekawych i mówiąc jedno przez drugie. Te wesołe pogwarki i przekomarzania przerwała niania, która oznajmiła, że przyszli kolędnicy z gwiazdą i mamusia Renusi pozwoliła, by dzieciom zaśpiewali. Weszli trzej chłopcy, buzie mieli czerwone od mrozu i wesołe oczy. Największy trzymał na wysokim kiju gwiazdę pięknie z pręcików i różnokolorowego papieru wyklejoną, oświetloną od wewnątrz. Dwu mniejszych stanęło koło niego, gwiazda zaczęła się obracać, a chłopcy jęli kolędować z zapałem. — Hej kolęda, kolęda! — huknęli gromko na zakończenie, pokłonili się pięknie i zabierali do odejścia, bo już tam w kuchni mieli przygotowany poczęstunek. Najbliżej Reni stał najmniejszy z kolędników. Mało co starszy od dziewczynki, w lichym kubraczku, na krzyż chustką przepasanym, z czerwonym noskiem i gołemi rączkami, które tarł bezustannie, by rozgrzać zgrabiałe palce; a śpiewał z takiem przejęciem, że aż oczka przymykał i głowę do góry niczem kogutek podnosił. Żal się go zrobiło Renusi, coś chciała mu dać od siebie, rozejrzała się, koło niej w koszyczku leżały kawałki placka trzejkrólowego. Nie namyślając się, wzięła jeden kawałek i, korzystając, że uwaga wszystkich była zwrócona na gwiazdę, wsunęła go szybko malcowi w zziębnięte rączki. Kolędnicy wyszli, a niania powiedziała: — A teraz niech gosposia poda placek gościom, zabaczymy co też los postanowi i kto zostanie królem migdałowym?

Renusia przykryła koszyczek serwetką i podała dzieciom. Każde, wziąwszy kawałek, coprędzej go rozłamywało, szukając migdałka. Ale migdałka nigdzie nie było. Rozległy się okrzyki rozczarowania. Wszystkie oczy zwróciły się na Renusię, która stała z niepewną minką, trzymając pusty koszyczek w ręku. Zwróciła się do niej niania:

— Powiedz Reniu, czy to psota, czy może dlatego schowałaś kawałek z migdałem, by samej zostać królową, boś już od rana to zapowiadała?

Renusia zaczerwieniła się, i pokręciła tylko główką.

— Acha! — powiedziała niania — to pewnie ci kolędnicy zabrali kawałek placka, bo widziałam, jak na niego zerkali!

— O, nianiu, to nie oni! — krzyknęła Renusia — to ja dałam kawałek placka temu małemu zmarzniętemu chłopczykowi! Tak mi go żal było... coś od siebie dać chciałam... a zapomniałam o tym migdałku... i teraz popsułam wszystkim zabawę... i rozpłakała się żałośnie.

Wszystkie dzieci jęły ją pocieszać, a wesoły Jurek zawołał:

— Otrzyj oczko lewe prawe, płaczem popsujesz zabawę! A z tego wszystkiego widać, że tobie był przeznaczony ten migdałek, prawda dzieci! Wybieramy Renkę na królową! — Wybieramy, wybieramy — krzyknęły wszystkie dzieci. Ustrojono Renkę w płaszcz szkarłatny i koronę, a dzieci wzięły się za ręce i, otoczywszy dziewczynkę kołem, śpiewały:

Niechaj żyje nam królowa, cośmy ją wybrały,
Chociaż w brzuszku kolędnika znikł migdałek biały!

H. Rostafińska-Choynowska.

Wydawcy: Stowarzyszenie Mis. Księży Pallotynów. Redaktor: Józef Czarnecki.
Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

Wykonano w Drukarni Archidiecezjalnej, Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

ZA NADESŁANE POD ADRESEM NASZEGO KĄCIKA ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE, SKŁADAMY NA TEM MIEJSCU SERDECZNE „BÓG ZAPŁAĆ!"

PIERWSZY KONKURS KWARTALNY.

Po zakończeniu w numerze grudniowym IV konkursu kwartalnego 1933, rozpoczynamy obecnie I konkurs kwartalny na r. 1934, pod warunkami niezmienionemi.

Rozwiązania nadsyłać należy w terminie **trzytygodniowym** (licząc od daty otrzymania numeru) pod adresem „Rozrywki Umysłowe Rodziny Polskiej, Warszawa, Krak.-Przedmieście 71".

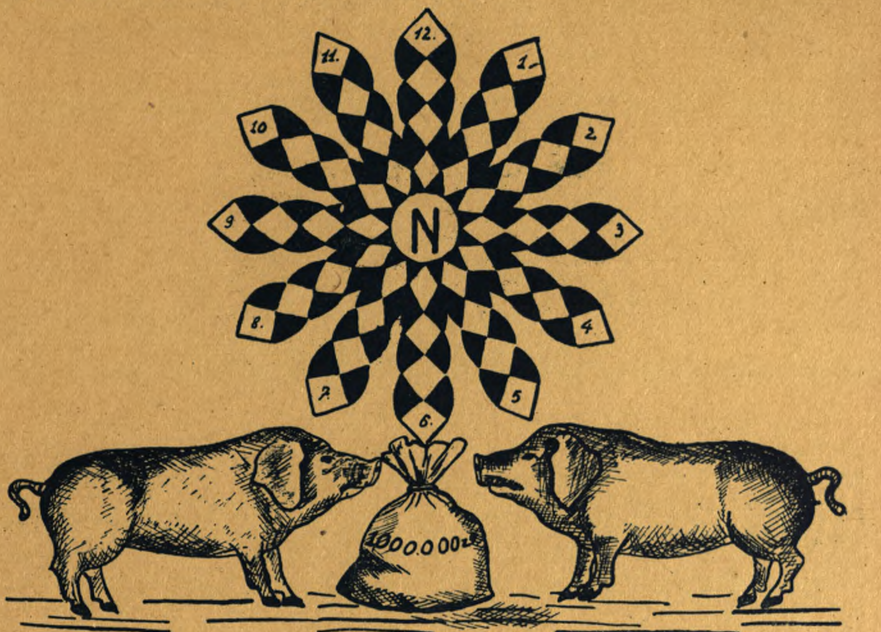
1. SZARADA (5 pkt.).

Szóste-siódme-ósme Jezusieńku miły!
Nasze **trzecie-czwarte** i nasze rodziny!
Zamki, domy, chaty, ubogie dziedziny,
I do wspólnej pracy dodawaj nam siły.
Dziewiątą-dziesiątą-jedenastą drogą!
I jej wszystkie stany pobłogosław Panie!
Niech zła wola zniknie, pokoj, mir nastanie,
Niech pod Twą opieką rozwija się błogo.
Niech się stanie krzepka, **ósma i dwunasta!**
Niechaj na nią spłynie łaska **pierwsza-druga,**
Niech jej służą wszyscy, pan i kmieć od pługa
I mała dziecina i każda niewiasta.
Bądź **tuzin trzynastą** mocą i puklerzem!
Niezgoda i swary niech nie kłócą stany,
Niechaj brat na brata nie będzie zgniewany,
I niech się zgrupują pod Twym świętym Krzyżem.
Daj pracę, daj sytość, katolickie rządy!
Niech **czwarci,** co nawą ojczystą kierują
Miłość oraz wiarę z serc zimnych wykują,
Niech zniknie prywata i szatańskie prądy.
Trzecia-czwarta-piąta ukochana droga!
Twa Matka Królową jest naszej Ojczyzny:
Niechaj w niej króluje i wygładza blizny,
Na to jest nam dana przez samego Boga.

H. Mokrzycka czł. Kl. Sz.

2. LOGOGRYF NOWOROCZNY (4 pkt.).

(Rysunek u góry na prawo).



W kratkach figury należy wpisać dośrodkowo 12 wyrazów pięcioliterowych o podanem znaczeniu. Litera „N" jest wspólną końcówką wyrazów. Litery na obwodzie dadzą rozwiązanie.

Objaśnienie wyrazów:

Pierwszy — królował niegdyś Rzymowi,
Zaś **drugi** — burza nader gwałtowna;
Trzeci jest ślubny, albo też wdowi,
Czwarta to rzeka Alaski łowna.
Piątego szukaj w klejnotach rzędzie,
Nazwę **szóstego** kalendarz chowa;
Siódmy znów owoc soczysty będzie,
Ósmy — moneta drobna, zdawkowa.
Wspak dziewięć słynie z biegu szybkiego,
Dziesiąty w każdem niezbędny kinie,
Jednasty — stroju część węgierskiego,
Kto ma **wspak tuzin,** w śniegu nie zginie.

Z. Ptaszyńska czł. Kl. Sz.

3. KRZYŻÓWKA (5 pkt.).

Wyrazy poziome: 1. Mały ogórek marynowany. 4. Gór. instrument muz. 7. Fabrykant narzędzi optycznych. 9. Zbiór małych gwiazd w konst. Byka. 12. Drzewo do budowy okrętów. 14. Ucz. teolog u Turków. 17. Posiedzenie. 18. Spółgłoska fon. 19. Mila chińska. 21. Senator rzymski znany ze surowości obycz. 23. Rasa konia. 24. Postać bibl. 28 .Spójnik. 23. Poprawianie. 32. Papuga. 34. Potr. złota korona papieska. 38. Alkaloid beladony. 42. Ż. imię bibl. 44. Derka. 46. Żona Sokratesa. 48. Dopływ Leny. 49. Litera fon. 50. Farba niebieska. 54. Posiada. 55. Królowa tebańska. 56. Ziemia ze szczątków zbutwiałych roślin (paliwo). 58. Zapisek. 60. Sprzęt sport. 62. Chwast pospol. 66. Zaimek. 67. Litera fon. 68. Wnętrze kościoła. 69. Hrabstwo szkockie. 70. Miasto w Rosji. 72. Ton gamy. 79. Wykrzyknik. 74. Znak chem. 75. Firmament. 81. Samouctwo.

Wyrazy pionowe: 1. Lekki powozik. 2. Umysł. 3. Czas próby w zakonie. 4. Czysta glinka porcelanowa. 5. Mniem. siła przyrody. 6. Zabytek hist. w Krakowie. 8. Zalotnica. 9. Ochotnik w oddz. podjazd. 10. Kraj. w Afryce. 11. Pytajnik. 15. Jednostka pracy. 16. Podpisujący weksel z zobowiązaniem term. zapłaty. 17. Polak. 19. Zdr. imię żeńskie. 20. Gat. wierzby. 22. Nabożeństwo 9-dniowe. 24. Zbiorowisko drzew. 25. Rzeka w Rosji. 26. Imię m. 27. Litera fon. 30. Pole nieurodzajne. 31. Podziemna rzeka piekieł. 33. Zabawa. 35. Pierwszy lotnik. 36. Powieść Dygasińskiego. 37. Siódme wcielenie boga Wisznu. 39. Człowiek mechaniczny. 40. Litera fon. 41. Dopływ Dunaju. 42. Inicjały bohatera narod. 43. Zaimek. 44. Litera fon. 45. Wódz rzymski jako wzór skromności. 47. Rzeka we Włoszech. 51. Błędnik. 52. Niemetaliczny pierwiastek chem. 53. Przyimek. 57. Narodowość. 59. Instrument muz. 61. Małżonka Oberona. 62. Owad. 64. Bożek egipski. 65. Cyfra rzymska. 67. Litera fon. 76. Kochanka Zeusa. 77. Franc. tytuł szlach. wspak. 78. Spójnik 79. Samogłoski. 80. Pół skauta.).

T. Fedejko.

SKRZYNKA POCZTOWA.

WP. Urbanek Fr. Król. Huta. Adres dla rozwiązań zadań: „Dział Rozrywek Umysłowych „Rodziny Polskiej" Krak. Przedm. 71. Można adresować także: „Klub Szaradzistów, **Żórawia** 45 m. 10". Za życzenia b. dziękujemy i przesyłamy wzajemne.

M. Sł.

ZIMOWE WIECZORY

najprzyjemniej spędzisz przy „ROZRYWCE", której numer styczniowy opuścił już prasę. Kwartalna prenumerata tylko 2 zł. Konto PKO nr. 2048. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, **Żórawia 45 m. 10. Żądajcie** numerów okazowych! Pojedyńcze numery do nabycia także w kioskach „Ruchu".



ZE ŚWIATA RADJA

Ułatwienie i ulgi dla nowych abonentów.

Z dn. 5-go października r. 1933 wydane zostało rozporządzenie Pana Ministra Poczt i Telegrafów, zawierające znaczne ułatwienia dla nowych abonentów radjowych.

Już sama procedura składania deklaracji została znacznie uproszczona. Mówi o tem wyraźnie § 4 rozporządzenia, w którem czytamy.

„Opłaty radjofoniczne pobierane będą przez urzędy pocztowe (agencje), zgóry, miesięcznie, kwartalnie lub rocznie zależnie od życzenia płatników.

„O ile zezwolenie uzyskano do dnia 10 włącznie danego miesiąca, opłata radjofoniczna obowiązuje do dnia 1-go tego miesiąca, o ile zaś zewolenie uzyskano po 10-ym danego miesiąca, opłata radjofoniczna obowiązuje od 1-go następnego miesiąca".

Wydawanie „upoważnień" na prawo korzystania z urządzeń radjoodbiorczych.

Nowe rozporządzenie upraszcza również znacznie wydawanie t. zw. upoważnień na prawo nabywania, zakładania i używania urządzeń odbiorczych radjofonicznych. Uzupełnienie zawarte w § 2 w dziale instrukcji w sprawie urządzeń radjofonicznych przy użyciu detefonu wprowadzają szereg ułatwień, których nie zawierało poprzednie zarządzenie Min. Poczt i Telegrafów z dnia 27-go września 1929 r. W instrukcji powiedziane jest, że:

„Osoba pragnąca otrzymać upoważnienie wymienione w ustępie poprzednim wypełnia i składa w urzędzie, lub agencji pocztowo telegraficznej zgłoszenia na druki i zobowiązania. „Obydwa druki wydaje się bezpłatnie".

„Przy złożeniu zgłoszenia i podpisaniu zobowiązania interesant uiszcza opłaty wstępnej zł. 3. Opłaty kancelaryjnej w tym wypadku nie pobiera się.

Rozporządzenia te odnoszą się do wypadku, w którym abonent nabywa jednocześnie komplet „detefonowy", o którego dostarczenie urz. poczt. zwraca się do Państw. Zakł. Tele-i Radjotechnicznych. Następnie ten sam urząd zawiadamia abonenta o nadejściu kompletu detefonowego, względnie (np. na prowincji) komplet taki przesyła deklarantowi, który wpłaca zł. 4.50 tytułem opłaty abonamentowej za pierwszy miesiąc, pozostałe zł. 49,50 spłacając w następnych jedenastu ratach miesięcznych. Razem więc, łącznie z początkowem wpisowem zł. 3, nowy abonent, nabywający jednocześnie komplet detefonowy płaci w ciągu roku zł. 57, w której to sumie mieści się zł. 36 za roczny abonament i zł. 21 za komplet odbiorczy. W ten sposób doskonały polski odbiornik detektorowy został dla nowego abonenta obniżony z zł. 39 na 21 zł. czyli o zł. 18. To wielkie udogodnienie w kierunku zachęcenia szerokich sfer do korzystania z dobrodziejstw radjofonji, jak również w kierunku popierania przemysłu radjotechnicznego, zasługuje na specjalną uwagę.

Skoro w powyższem zarządzeniu jest mowa o urzędach i agencjach pocztowo-telegraficznych, obowiązanych do pośredniczenia w przyjmowaniu opłat abonamentowych, warto przypomnieć, że w dn. 1-ym listopada r. ub. czynnych było w całej Polsce 3.708 urzędów i agencyj pocztowo-telegraficznych. Ponieważ składanie deklaracyj wszelkiego rodzaju łącznie z zamawianiami, zrzeczeniami się, wpłacaniem rat za abonament lub radjosprzęt może odbywać się za pośrednictwem listonosza, wypada, że Rozporządzenie daje zgórą 11.000 sposobności zostania radjoabonentem z pominięciem dawnej dość skomplikowanej procedury zgłaszania się bezpośrednio.

Prawdziwa chińska awantura.

Straszne rzeczy dzieją się w tym Hong Kongu: Chińczyków ogarnął szał radjowy. W mieszkaniach, sklepach, a nawet na targowiskach ulicznych Chińczycy zakładają odbiorniki fenomenalnej mocy. Niektórzy kupcy chińscy wpadli na piekielny pomysł zakładania instalacyj głośnikowych z amplifikatorami i tą drogą wydzierają się na całe gardło, zachwalając swoje towary.

O tych wydarzeniach w Hong Kongu, pisze korespondent jednego z dzienników londyńskich rzeczy, w które trudno byłoby uwierzyć, gdyby dziennikarz angielski nie przytoczył, aż nazbyt wiele konkretnych przykładów, wzmocnionych dokładnemi adresami. Powiada on, że wrzawa w dzielnicy chińskiej jest z tego powodu, tak wielka, że... w dzielnicy europejskiej nie można spać spokojnie, bowiem chińscy entuzjaści radja odbierają nawet w nocy stacje europejskie i amerykańskie.

Złe i przesadne użycie radja spowodowało, że Hong Kong stał się jakimś radjowym ogrodem udręczeń. Dopiero skargi Europejczyków sprawiły, że rząd chiński wydał rozporządzenie, zabraniające używania instalacyj amplifikacyjnych z głośnikami na otwartem powietrzu, a nawet w lokalach prywatnych po godzinie ósmej wieczorem przy oknach otwartych, a po godzinie 10-ej — wogóle. Ograniczenia te nie odnoszą się do zwykłych odbiorników radjowych i do lokali publicznych.

Gwiazdka radjosłuchaczy dla dziatwy kresowej.

Na Wołyniu, Polesiu, w Nowogródczyźnie i w wysuniętych na północ powiatach polskich, nędza wśród ludności wiejskiej, jest zjawiskiem oddawna powszechnem. Kraj mało zaludniony, większość gruntów — to piaski, moczary, bagna, nieużytki, z których trudno bywa rolnikowi coś więcej wydobyć. Jak może i potrafi toczy Poleszuk odwieczną walkę z przyrodą na rzadkiej, zwykle od chaty bardzo oddalonych pólkach, nieco żyźniejszej ziemi, sieje potrochu żyta, jęczmienia, prosa, lnu i gryki, sadzi trochę ziemniaków, ale plony zawsze liche, a i te często mu woda zabiera.

W roku bieżącym głód większy niż kiedykolwiek zajrzał do chat poleskich i stał się prawdziwą klęską dla ludności pozbawionej dochodów z roli i z wszelkiej innej pracy zarobkowej. Najdotkliwiej daje się to we znaki dziatwie, pozbawionej ludzkiej odzieży i zmuszonej chodzić do szkoły po kilka kilometrów o głodzie i chłodzie. Listy, jakie od tamtejszego nauczyciela napływają do „Polskiego Radja" roztaczają przerażające obrazy nędzy, panującej wśród dzieci. W Płotniankach bez czegośkolwiek cieplejszego na grzbiecie w jakiemś zaimprowizowanem ze słomy obuwiu, a często zupełnie boso, idzie to biedactwo po błocie lub śniegu do szkoły. Albo wcale wyjść z domu nie może, bo jedno podarte ubranie lub chustka matczyna na kilkoro rodzeństwa wystarczyć musi. Nauczycielstwo odwołuje się, do „Polskiego Radja" o pomoc rychłą i wydatną, bo dzieci masami chorują i zamierają.

Podobnie jak w latach ubiegłych i w tym roku „Polskie Radjo" w okresie świąt Bożego Narodzenia rozwinęło intensywną akcję zbiórki wśród radjosłuchaczów na „gwiazdkę" dla najuboższej dziatwy województw wschodnich. Obydwie warszawskie „Skrzynki pocztowe": dziecięca i programowa już od października rawołują o pomoc i ofiary w postaci ciepłej odzieży, bielizny, obuwia, książek i zeszytów, zabawek, gier towarzyskich itp. I trzeba to stwierdzić z zadowoleniem, że żywe słowo, trafiające do żywych serc radjosłuchaczy, daje wyniki bardzo poważne.

W r. ub. dzięki darom, napływającym z środkowych, południowych i zachodnich części kraju, udało się zaopatrzyć jako tako, w odzież pięćdziesiąt kilka punktów szkolnych. W roku bieżącym plon zbiórki jest jeszcze większy. W pracy nad sortowaniem, podziałem i wysyłką paczek z darami gwiazdkowemi dla szkół kresowych Polskie Radjo nie jest już odosobnione, gdyż współpracuje obecnie z Polskiem Towarzystwem Opieki Nad Kresami. Dnia 20-go grudnia w ramach warszawskiej „Skrzynki Pocztowej" przemówił do radjosłuchaczów prezes tego Towarzystwa mec. St. Szurlej, który w gorących słowach zwrócił się do nich z prośbą o kilkudniową współpracę osobistą w tym kierunku. Już w godzinę po przemówieniu, mec. Szurleja, do lokalu Towarzystwa przy ul. Kredytowej 16, zgłosiło się kilkanaście osób, ofiarując bezinteresownie swój czas i swój wysiłek. Ale nie dosyć na tem. Nazajutrz do „Radjokronikarza" zgłosił się delegat urzędników Kasy Chorych w Warszawie z wiadomością, że dzieci tych urzędników oznajmiły swoim rodzicom, iż wobec tego że w Polsce są dzieci od nich biedniejsze, które napewno choinek mieć nie będą, pragną zrzec się swoich podarków na rzecz tamtych biednych dzieci, o których słyszały przez radjo. Proszą więc rodziców aby pieniądze dla nich na „gwiazdkę" przeznaczone, zostały oddane Polskiemu Radju na „gwiazdkę" dla dziatwy szkolnej Polesia. Oceniając znaczenie społeczne tej dziecięcej inicjatywy, urzędnicy Kasy Chorych zebrali kwotę 2.200 zł. i w myśl intencyj, jaką dzieci wyraziły, oddali ją do dyspozycji polskiego Radja.

Przyjmując ten chojny, wzruszający dar dziecięcy, radjokronikarz wyraził prośbę, aby dar mógł być złożony nie w gotówce, lecz odrazu w postaci ciepłej odzieży, zakupionej hurtowo. Życzeniu temu stało się zadość i w dniu 22-go grudnia „Polskie Radjo" otrzymało sześnaście dużych tobołów, pełnych nowego obuwia, ciepłej bielizny, wełnianych sweterków i sukienek, płaszczyków i ubranek chłopięcych i dziewczęcych. Tym obfitym, a niespodziewanym darem obdzielono więcej punktów szkolnych niż w latach ubiegłych.

Z radością powitać należy to zjednoczenie serc dziatwy stolicy z dziećmi dzielnic kresowych. Miejmy też nadzieję, że ten przykład miłosierdzia nie pozostanie odosobniony, lecz pociągnie za sobą inną organizację, do wspólnej intensywnej akcji niesienia pomocy polskim szkołom województw wschodnich.